

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Adam Sznaper

AKADEMIA CUDÓW
(implikacje, herezje i paradoksy)

Wielki Wybuch
Mózg i jego budowa
Zagadka UFO
i inne.

Copyright by Adam Sznaper, Warszawa 2000

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Od autora

Być może niektórzy matematycy i fizycy zachną się na te myśli antytermodynamiczne; być może niektórzy spośród teologów zachną się na poglądy sprzeczne z kanonami; być może niektórzy ludzie z wyobraźnią twórczą znajdą w nich inspirację?

Sądzę, że warto było utrwalić te przemyślenia dla innych. Obym się nie mylił.

A.S.

Motto:

Ponieważ terażniejszość można obiektywnie zdefiniować dopiero z perspektywy czasu, a przyszłość jest nam w ogóle nieznana – najbardziej realną rzeczywistością jest przeszłość.

Big-Beng

Ażeby mógł powstać Wielki Wybuch inicjujący początek świata, musiałoby uprzednio istnieć niewyobrażalnie gęste skupisko materii, czyli idealnie czarna (niewidzialna) dziura, poza którą nie byłoby już nic. Czy może istnieć dziura w niczym? Na domiar niewidzialna dziura w niczym? To skrajny paradoks, o ile nie nonsens, bo dziura w niczym, to brak materii, a gdzie nie ma materii, tam nie ma i czasu. Skoro jednak nie istniał czas, nie istniała także i dziura, bo i kiedy? Mamy więc niewidzialną dziurę w niczym, której nigdy nie było. Jest to przypuszczenie dość osobliwe. Nieistniejąca dziura ma „alibi” w postaci nieistniejącego czasu, czyli świat się nigdy nie zaczął. A może i czas był tak bardzo zagęszczony jak czarna dziura i istniał nie manifestując się przed wybuchem? Czy czas istniał w beczasie?

Porzucmy jednak manipulacje słowne, wiedząc, że czarna dziura jest określeniem umownym, że idzie o niewyobrażalny zgęstek materii „sam w sobie”, a poza nim nie ma już nic. Jego wybuch był prapremierą istnienia, prapoczątkiem wszechrzeczy.

Nagle nieistniejący czas, który czyhał w niebycie, zaczął się rozwijać się jak nici z kłębka wraz z rozszerzającym się wszechświatem. Ponieważ jednak każdy obiekt każdej galaktyki ma swój własny czas, tych nieistniejących nici musiała być nieskończona ilość. Otóż to: nieskończona ilość nieistniejących czasów, związanych z niewidzialną dziurą w niczym, to plon współczesnej wiedzy. Chyba łatwiej uwierzyć, że „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo...” (tym tematem zajmiemy się później). Co się jednak dzieje z tym rozszerzającym się wszechświatem? O, nie, to nie świat się rozszerza, to tylko materia ucieka w przestrzeń i „rozszerza się”, a raczej rozprzestrzenia.

Niezależnie od tego, co zostało powiedziane o Wielkim Wybuchu powstanie (stworzenie? narodziny?) świata nie ogranicza się jednak do rozprzestrzeniania się materii. Przede wszystkim należałoby postawić pytanie skąd się wzięła ta pierwotna materia, bo przecież nie mogła powstać samoistnie z niczego. Z niczego może powstać jedynie nic. Równie ważna jest odpowiedź na pytanie, jak powstała przestrzeń? Twierdzi się (zakłada się), zresztą dość infantylnie, że wielki wybuch spowodował rozszerzanie się wszechświata. Domniemanie to oparte jest na obserwacji, z której wynika, że galaktyki ustawicznie oddalają się od siebie jak gdyby „uciekają”. Zresztą niektóre obserwacje pozwalają na wyciągnięcie wniosków sprzecznych z dotychczasową wiedzą, dowodzą bowiem, że pewne obiekty poruszają się z prędkością znacznie przekraczającą prędkość światła.

Wróćmy jednak do pojęcia przestrzeni. Nie jest do pomyślenia, żeby cokolwiek mogło się rozszerzać w bycie pozbawionym przestrzeni. Jest też oczywiste, że tej idealnej próżni, a więc przestrzeni, nie mogła stworzyć materia przed hipotetycznym wybuchem, gdyż nie można

stworzyć niczego z czegoś. Jak więc powstała przestrzeń (próżnia) i kiedy? Z powyższego rozumowania wynika, że idealna próżnia mogła powstać jedynie przed wielkim wybuchem. Gdyby nie było otaczającej go próżni, Big–Beng nie mógłby nastąpić, bo materia nie mogłaby się rozprysnąć, nie mając dokąd „uciec”. Gdyby ten niesamowity i niewyobrażalny zgęsteczenie materii, ta superczarna dziura nie miała się gdzie i dokąd rozprzestrzenić, tkwiłaby „sama w sobie”, jak baśniowy geniusz w butelce. Co jednak stanowiłoby ową „butelkę”, decydującą o ograniczeniach superczarnej dziury? Nie mogłoby to być nic materialnego, gdyż cała materia wszechświata, w myśl założeń tkwiłaby przecież w owej czarnej superdziurze. A jeżeli tak, to superdziura byłaby ograniczona niczym, czyli nieograniczona, nieograniczona zaś nie mogłaby być zgęsteczeniem, który się rozprzestrzenia. Bo czyż może się rozprzestrzeniać (rozszerzać) coś nieograniczonego? To tak, jakby chcieć powiększyć liczbę nieskończoną. Stąd wniosek, że przed wielkim wybuchem superdziura musiała mieć rozmiar ograniczony, a jej granicę określała próżnia lub mówiąc inaczej, przestrzeń. Tak więc, jeżeli za początek wszechświata zachcemy uznać wielki wybuch (Big–Beng), musimy z konieczności uznać poprzedzające go istnienie wszechobecnej, idealnie próżnej przestrzeni, która istniała zawsze.

Skąd się wzięła? Jak powstała i kiedy? Oto pytania, na które należałoby szukać odpowiedzi, bo największa tajemnica tkwi nie w materii, a w przestrzeni.¹ Ponieważ jednak czas jest jednym z parametrów przestrzeni (w wielowymiarowym świecie) więc i on musiał istnieć zawsze, a jako że zależny jest od materii, materia też zawsze musiała istnieć. Tak więc wszechświat, który rozumiany jest jako czas, przestrzeń i materia, istniał zawsze, bo te trzy elementy są ze sobą nierozłącznie związane. Żaden z nich nie mógł powstać samoistnie, niezależnie od pozostałych. Nie mogło więc być tak zwanego „Wielkiego Wybuchu”, który zainicjowałby powstanie czasu (powstałby przed czasem) i rozszerzał przestrzeń.

Wszelkie dysertacje na temat narodzin wszechświata za sprawą wielkiego wybuchu pozbawione są logicznych podstaw. Być może twierdzenia takie wtedy nabrałyby sensu, gdybyśmy umieli zamknąć w eleganckim równaniu trzy parametry: czas, przestrzeń i materię. Winno to być równanie równie jasne i precyzyjne jak einsteinowskie $E = mc^2$. Podejrzewam, że równanie takie nigdy nie powstanie, bo skoro założyliśmy, że czas i materia zrodziły się z wielkiego wybuchu, to zawsze zabraknie odpowiedzi na pytanie skąd się wzięła owa przestrzeń, a więc próżnia, która otaczała superczarną dziurę tkwiącą w niczym? Może raczej należałoby skromnie przyznać, że teoria o wielkim wybuchu okazuje się paradoksem, a nasze domniemania naukowe fikcją wygodną dla podparcia fałszywej hipotezy. O ile się z tym nie zgodzimy, trzeba będzie stwierdzić, że powstanie świata jest paradoksem i że żyjemy w fikcyjnym świecie. Okazuje się bowiem, że choć żyjemy w czterowymiarowym, czasoprzestrzennym świecie, żaden z tych czterech wymiarów nie jest nam znany, a na domiar każdy z nich jest relatywnie względny. Wątpliwe, aby udało się ułożyć równanie z samych zmiennych niewiadomych w świecie, który, jak podejrzewam, nie ogranicza się do czterech wymiarów stanowiących zaledwie prolegomenę do naszej niezwykle ograniczonej wiedzy, z której jesteśmy tak dumni na wyrost.

Być może należałoby zacząć z przeciwnej strony, próbując ułożyć równanie ze sprawdzonych elementów niewiedzy. Taki początek mógłby się okazać zachęcającym punktem wyjścia, tyle że elementami niewiedzy trzeba by się posłużyć jako „naukowymi pewnikami”. Takie pewniki nie trudno by było znaleźć. Dla przykładu posłużmy się Big–Bengiem: skoro galaktyki rozbiegają się i świat się poszerza (powiększa się), to zgodnie z teorią czasoprze-

¹ Popelniamy błąd odwiecznie szukając tajemnicy wszechświata nie w istocie przestrzeni, lecz w istocie materii. Być może. dzieje się tak dlatego, że istota materii jest dla nas w grubszych zarysach wyobrażalna. a nawet zgłębiliśmy już niektóre jej tajemnice, zaś istoty przestrzeni nie potrafimy dociec, gdyż nie mieści się w polu naszej wyobraźni.

strzeni poszerza się (powiększa się) także i czas. Jeżeli świat jest nieograniczony ale skończony, **skończony** jest także czas. Jeżeli natomiast świat jest ograniczony, ale nieskończony, czas również jest **ograniczony** choć nieskończony. Z czego jednoznacznie wynika, że czas jest albo skończony albo ograniczony, a to już jedynie pusta gra słów. Każde z tych twierdzeń z równym skutkiem można przyjąć za pewnik (bądź też odrzucić) bo obydwie w równym stopniu pozbawione są podstaw, służąc jako figura retoryczna.

Obok teorii rozszerzającego się wszechświata istnieje teoria pulsującego wszechświata, który po osiągnięciu maksimum zaczyna się kurczyć wracając ku „źródłom” czyli przekształcając się stopniowo i ponownie w czarną dziurę, w Wielkie NIC w NICZYM, w zgęsteczenie w niebycie pozbawionym czasu i przestrzeni. Czas kurczący się wraz z wszechświatem, wracając ku „źródłom” musiałby się cofać. Przyjmując taką teorię trzeba założyć, że wszelkie zdarzenia muszą się powtarzać i to w odwrotnej kolejności. Czas kurczący się spowodowałby coś w rodzaju swoistego antyświata. Na przykład umarli powstawaliby z grobów zdrowiejąc, młodniejąc, malejąc i wnikając w łona matek; drzewa i kwiaty wrastałyby w łono ziemi itp.² Inaczej mówiąc, pulsujący czas powodowałby powtarzalność zjawisk i to każdorazowo w odwrotnej kolejności. W ten sposób powstałoby sprzeczne z prawami termodynamiki, osobliwe perpetuum mobile. Sprzeczność taka wynika jednak z teorii pulsującego wszechświata, a więc i pulsującego czasu. Trzeba przy tym pamiętać, że pulsujący czas „rozwijalby się” i „cofał” po linii krzywej, bo w zakrzywionej czasoprzestrzeni zakrzywiony musi być także i czas. Oto następny pewnik niewiedzy, jako drugi z elementów równania: zakrzywiony, skończony i ograniczony czas wzrastający i malejący. – Implikacje wynikające z pulsującego czasu sugerują, że niezależnie od wyznawanych kultów, dogmaty religijne takie jak reinkarnacja lub Sąd Ostateczny wywodzą się z przesłanek naukowych.

Zapytajmy jednak, dlaczego pulsujący wszechświat w pewnym momencie przestaje się rozszerzać. Przecież nic na świecie nie dzieje się bez przyczyny. Czyżby zaczynało brakować mu impetu? Z analizy widma (siatka dyfrakcyjna) wynika coś wręcz odwrotnego: w miarę oddalania się galaktyki nabierają prędkości, rozpędzają się, a więc przyczyny musimy szukać gdzie indziej. Tą przyczyną może być jedynie natrafienie na „barierę”, na brak przestrzeni, czyli na „koniec świata”. Płynąłby z tego wniosek (pod prąd przyjętych twierdzeń), że świat jest ograniczony i skończony. Przynajmniej w naszych czterech wymiarach. Wobec tylu sprzeczności w kwestiach rudymentalnych swobodnie i dowolnie możemy założyć, że układ słoneczny wraz z całym obserwowanym i domniemywanym przez nas wszechświatem stanowią raptem jedną z komórek niepoznawalnego tworu. Być może tworu niepoznawalnego jedynie dla istot trójwymiarowych, które indolencją sztukują wyobraźnię. Per analogiam (antropomorfizując) gdyby wirus rozumował na sposób ludzki, komórkę w której bytuje uznałby za swoją galaktykę, a podejrzewając istnienie innych komórek ich zbiorowisko uznałby za wszechświat, poza którym nic już nie istnieje. Jeszcze bliższy prawdy byłby elektron, uznając proton za swoje słońce i nie bez racji powołując się na systemy planetarne. Bez trudu można zauważyć podobieństwo atomów do słońc, ruchu obrotowego elektronów do ruchu obrotowego planet, a nawet budowy galaktyk spiralnych do spirali DNA. Czyżby to wszystko pozostawało bez wzajemnego związku i było jedynie dziełem przypadku?

² Istota bytu pozostałaby niezmienną. Wszystko, co powstaje umierałoby, ale w swoisty sposób. Z naszego ludzkiego punktu widzenia świat taki byłby dziwaczny i na pozór nic do przyjęcia, a jednak kolejność zjawisk napawałaby optymizmem. Człowiek stopniowo odzyskiwałby siły, młodość, nadzieję i dzieciństwo, które jest najpiękniejszym okresem życia. W zamian za zawyżające się pole świadomości zyskiwałby radość, świeżość spojrzenia i niewinność. Równocześnie zacierałaby się w nim obawa przed śmiercią.

Światło wyobraźni rzuca niekiedy urojony cień, który przesłania rzeczywistość. Tak więc żyjemy po części w świetle ciemności, a wszelkie zdarzenia interpretujemy zawsze w sposób subiektywny, nadając im różną wagę i przypisując zmienne znaczenia, zależne od naszego nastroju. Dlatego właśnie to samo, powtarzając się w różnych warunkach, może wywoływać u nas diametralnie sprzeczne reakcje; dlatego nie możemy być całkowicie obiektywni; dlatego tak sprzeczne bywają zeznania świadków i poglądy naukowców. Wszystko się ustawicznie zmienia. Spróbujmy więc nieco zmodyfikować i poszerzyć ten sam temat, rozwijając już poruszone wątki.

Wiadomo, że fale radiowe są nośnikami informacji. Wiadomo też, że wszechświat nasycony jest falami radiowymi. Pustkę między gwiazdną wypełniają informacje. Można przyjąć, że skoro taka informacja przenika wszechświat, to musi być do kogoś adresowana, a więc musi mieć i nadawcę, a więc jest to działanie świadome i celowe. Czy któraś z tych informacji adresowana jest do ziemi i czy nauczymy się je odczytywać? To przecież w zasadzie obojętne, czy ziemia jest planetą, rakieta, czy jakimś fruującym laboratorium kosmicznym. Jest zamieszkała przez istoty rozumne i inne istoty rozumne mogą o tym wiedzieć. To niepodobieństwo, żebyśmy żyli tu na ziemi w kompletnej izolacji. A może to możliwe? Albo istnieje nieskończona ilość samoistnych światów i nic nie ma związku z niczym, albo przeciwnie; wszystko ma związek ze wszystkim jak naczynia połączone. Faktem jest, że wszystko kręci się (wiruje) wokół wszystkiego. Elektrony krążą wokół jądra atomu, księżyc krąży wokół ziemi, ziemia obraca się wokół własnej osi i krąży wokół słońca, słońce wokół galaktyki, a galaktyka spiralna, którą jest nasza Droga Mleczna też wiruje wokół własnej osi. Czy możliwe, że na tym koniec? Czy świat to jakaś siatka statyczna o strukturze kryształu? Wątpliwe. Na pewno galaktyki też kręcą się wokół jakiegoś centrum, jaki jej osi, której się nawet nie domyślamy. Twierdzą, że świat powstał z wybuchu niewyobrażalnie gęstej pramaterii, a galaktyki uciekają i oddalają się od siebie. Od wieków szuka się jakiejś prawidłowości, ale jak ta prawidłowość wygląda? Jak twierdzi biolog z Princeton University, dr Edwin Godwin, szansa powstania planety takiej jak nasza w wyniku „wielkiego wybuchu” równa jest prawdopodobieństwu powstania wielkiej encyklopedii w wyniku eksplozji w drukarni.

Może przestrzeń istnieje o tyle o ile jest wypełniona materią, a czas istnieje o tyle o ile jest wypełniony działaniem? Może dlatego my, ludzie, przypisani do materii i do króciutkiego wycinka czasu przez całe życie musimy działać i myśleć? Tylko po co? Czy dlatego, że jesteśmy jedynie niezmiernie małym fragmentem jakiejś nieznannej nam, większej całości? Jak to właściwie jest? Atom, to nic innego, niż mikroskopijny układ planetarny, a mikroskopijna bakteria to żywy organizm, podobnie jak człowiek. Atom stanowi dla siebie swój własny skończony świat, podobnie jak układ słoneczny, a bakterie żyją, rozmnażają się, toczą wojny i podboje, przegrywając je lub wygrywając, zupełnie jak ludzie. Bakteria na pewno nie zdaje sobie sprawy z istnienia i możliwości człowieka, a jej wszechświatem jest zaatakowana komórka. Nie wie, że od jej działań i szybkości rozmnażania się zależy nasze życie, bo nie może mieć pojęcia o istocie takiej jak człowiek. Nie może mieć, nie ma i nigdy nie będzie miała, a przecież jest trójwymiarowa, chociaż taka malutka. Kto wie, czy my razem z naszym układem i dostrzeganymi przez nas przez najdoskonalsze radioteleskopy galaktykami nie jesteśmy częścią składową niezmiernie skomplikowanego układu, którego nigdy nie będziemy zdolni nie tylko zrozumieć, lecz także domyślić się, a mimo to nasze działanie i rozmnażanie się, i ekspansja kosmiczna mają jakiś wpływ na całość tego Niepojętego ustroju, podobnie jak bakterie mają wpływ na nasze życie? A może razem ze swoimi bombami wodorowymi tworzymy raptem mikroskopijną rakowatą komórkę tego niepojętego organizmu? A może jesteśmy jeszcze mniejsi, niż można sądzić i dopiero wraz z całym postrzeganym wszechświatem stanowimy taką mikrokomórkę? Skąd się biorą w człowieku takie uczucia jak duma, ambicja, wstyd, miłość lub nienawiść? Czy wszystko, co wiemy o świecie i czego się domyślamy nie jest jedynie czczym urojeniem? Ku czemu wiodą nasze myśli i jakiego rezultatu oczekujemy

po swoich odkryciach? Czy poszerzając wiedzę przestajemy być mikroskopijnymi ludzikami, pleśnią na powierzchni ziemi, niczym wobec wszechświata? Dlatego jesteśmy tak skonstruowani, że musimy myśleć. Walka Don Kichota z wiatrakami była chyba niezwykle rozsądna wobec naszej walki i czasem i przestrzeni, a przecież wal czy my i odnosimy jakieś sukcesy. Jeżeli jest tak, że wszystko składa się z nieskończonej ilości przyczyn i skutków, nasze myślenie też odgrywa w tym jakąś rolę, a więc jest konieczne. To nic, że składamy się z atomów, które są pustką podobnie jak układ słoneczny. To nic że składamy się z pustki, skazani jesteśmy na myślenie i działanie.

Oto co myśli na ten temat noblista Max Planck:

„Jako fizyk, a więc jako człowiek, który przez całe życie służył czystej wiedzy i zrozumieniu materii, z pewnością jestem wolny od podejrzeń o fanatyzm. I oto mówię o moich badaniach atomu, co następuje: Nie istnieje materia jako taka! Wszelka materia powstaje i trwa dzięki sile, która wprawia w drgania cząstki atomów i utrzymuje je razem w tym najmniejszym systemie słonecznym, jakim jest atom. Należy przyjąć, że tą siłą jest świadomy, inteligentny duch. Ten duch jest praprzyczyną wszelkiej materii. Nie materia widzialna, ale nie-trwała jest realnością, prawdą, rzeczywistością (bo ta materia, jak zobaczyliśmy, bez tego ducha w ogóle nie zaistniałaby) lecz prawdą jest niewidzialny, nieśmiertelny duch. Skoro jednak duch nie może istnieć sam w sobie i każdy duch przynależny jest do jakiegoś bytu, to musimy przyjąć przekonanie o istnieniu bytów duchowych. Ale skoro byt duchowy nie może istnieć sam z siebie, tylko musiał zostać stworzony, nie lękam się tak nazywać tego tajemniczego stwórcy, jak wszystkie kulturalne narody ziemi nazywały go od tysięcy lat: — Bóg!”

A Albert Einstein zauważa:

„Każdy, kto jest poważnie zaangażowany w badania naukowe, nabiera przekonania, że w prawach wszechświata zmanifestowany jest duch – duch znacznie przewyższający ducha człowieka, wobec którego my, z naszymi skromnymi siłami, musimy odczuwać pokorę”.

„Vedy” głoszą, że początkowym życiem jest Krsna, że żywa istota nie ma związku z rzeczami materialnymi. Dziwna zbieżność poglądów, bo przecież Vedy liczą sobie ładne parę tysięcy lat. Zostawmy jednak niedocieczony świat ducha i powróćmy do materii.

ALTERNATYWA

1. Żyjemy w świecie niespójnym, logicznie sprzecznym i dlatego nigdy nie docieczemy końca „wszechrzeczy”. Nasz świat w swoim zachowaniu jest jedynie statystycznie prawdopodobny. Jest to jednak prawdopodobieństwo, w którym trzeba uwzględnić nieskończoną ilość elementów, na domiar układających się chaotycznie, coraz to inaczej według prawa wielkich liczb, prawa serii, prawa przypadku, a więc stochastycznie (aleatorycznie), probabilistycznie itd.

2. Żyjemy w świecie logicznie spójnym i zdeterminowanym. W takim razie:

a) Istnieje teoretyczna możliwość zdobycia w przyszłości pełnej informacji tym świecie, a co za tym idzie możliwość kierowania nim i osiągnięcia wszechmocy;

b) Nie zdając sobie sprawy, czynimy wyłącznie rzeczy konieczne. Żyjemy według ściśle zaplanowanego scenariusza i wolna wola jest nie do pomyślenia. Można ją najwyżej przyjąć, jako niezbyt dogodną, metafizyczną fikcję.

Jak widać, te dwa człony alternatywy są diametralnie sprzeczne. Szukajmy dalej.

3. Świat nie jest zdeterminowany, ale można go zdeterminować, niejako otorbić się względem natury, stwarzając własne prawa (oczywiście do pewnych granic niesprzecznych z jej prawami, podobnie, jak to czyni rakowata komórka). (Strefa Dysona).

4. Świat jest zdeterminowany, ale nie do końca. W takim wypadku należy odnaleźć wygodną dla nas enklawę i dostosować się do niej, bądź kierować nią. Nie wiadomo, co się okaże łatwiejsze.

Ta alternatywa jest bardziej optymistyczna.

„Świat na bakier”

Entropia, informacja, antyświaty.

Oto implikacje i paradoksy wypływające ze „zdrowego” myślenia w oparciu o przesłanki naukowe. Zaczniemy od entropii, która jest procesem stale malejącego ciepła w przyrodzie. Uczeni zakładają, że wszelkie procesy na świecie przebiegają w ten sposób, iż entropia układu wzrasta. Mówiąc inaczej, wszystkie światy (galaktyki) umierają podobnie jak człowiek i jest to proces nieodwracalny. Znaczący to, że stale wzrasta w przyrodzie stopień nieuporządkowania i wzrastać będzie dotąd, aż wszystko pogrąży się w kompletnym zimnie i w kompletnym chaosie. Ponadto uczeni uważają, że jakkolwiek możliwe jest wyobrażenie przeróżnych światów w przeróżnych układach, to nie jest możliwe powstanie świata sprzecznego z prawami termodynamiki. Moje osobiste przekonania stanowią herezję termodynamiczną. Zaczę od pojęcia informacji,

Informacja jest strukturalnie upostaciowaną energią. Oto, jak można by sobie wyobrazić odwrotne pojmowanie termodynamiki i entropii, prowadzące do powstawania informacji (a więc wzrostu energii).

Z nieuporządkowanych mgławic powstają bardziej uporządkowane galaktyki, gwiazdy, planety, a wreszcie życie jako forma najbardziej uporządkowana. Pozostaje to w całkowitej zgodzie z faktami i z powszechnie zaakceptowaną teorią.

Następna sprawa. Czym wyższa jest temperatura, tym bardziej chaotyczny jest ruch cząsteczek (atomów itd.) natomiast ciało doskonale zimne trwa w bezruchu,³ a więc w pewnym niezmiennym uporządkowaniu, co moim zdaniem można przyjąć za wzrost informacji, bowiem więcej informacji da się odczytać ze statycznego bezruchu, niż z chaotycznego zderzania się atomów. Nadprzewodliwość w ciekłym helu dowodzi większego stopnia uporządkowania tego gazu. Per analogiam: pociąg łatwiej jedzie wzdłuż jednolitej trakcji, niż przerzucany z toru na tor, przy ciągłej zmianie semaforów; łatwiej trafić do określonych i wytyczonych stacji, niż do stacji przerzucanych ustawicznie z miejsca na miejsce.

Pojęcie porządku jest równie umowne, jak każde pojęcie ludzkie. Może właśnie Wielkim Porządkiem jest to, co nazywamy nieporządkiem? Jak wynika z odwiecznej empirii, natura stwarzając życie i światy dąży do wzrostu informacji. Powiada się, że w układzie izolowanym entropia może jedynie wzrastać, a informacja zachować wielkość stałą względnie maleć – w żadnym razie informacja nie może wzrosnąć. Otóż nie ma na świecie układów izolowanych, a to już choćby ze względu na stałe działanie sił grawitacyjnych i promieniowania kosmiczne-

³ W temperaturze zera absolutnego (bezwzględne, które wynosi $-273,15^{\circ}$) – ruch cząsteczkowy ustaje.

go, nie mówiąc o czynnikach, których być może jeszcze się nawet nie domyślamy. Jak wynika z powyższego, informacja w miarę upływu czasu zmienia się w entropię, zaś entropia w informację – po prostu zamieniają się miejscami po przejściu różnych stanów pośrednich. Chyba to jest właśnie owe globalne uporządkowanie, którego w naszych formułkach nie chcemy uwzględnić, wyciągając fałszywe wnioski z pozorów.

Powiada się, że szklanka raz stłuczona nigdy się sama nie złoży to znaczy nie wróci do stanu pierwotnego i wyciąga się z tego wniosek o nieprawdopodobieństwie samoczynnego wzrostu stanu uporządkowania. Tak więc entropia jakoby stale wzrasta. Holla! A któż odlał, względnie wydmuchał tę szklanę i w jaki sposób powstała ziemia, która wydała człowieka? A po wtóre, gdzie jest powiedziane, że najwyższym stopniem uporządkowania jest właśnie cała szklanka, a nie jej okruchy? Jest to, co najwyżej, stan uporządkowania sztuczny, odniesiony do człowieka, nie do natury. Dlaczego człowiek rości sobie prawo jakoby był punktem odniesienia, do którego ma się dostosować wszechświat, a więc jakąś osią centralną i przyczyną wszechświata?

Jest to przecież widzenie świata gorsze od przedkopernikańskiego, bo nie geocentryczne lecz homocentryczne, skażone religiami. Są to zwykłe uroszczenia, sugerujące jakoby nasze rozumowanie było jedynym rozumowaniem właściwym we wszechświecie. Kto wie, czy tak pojmowane przez nas „uporządkowanie” nie jest jedynie zwyrodniałą deformacją, sztucznym odkształceniem czasoprzestrzeni? A może wszystko to razem pięknie się godzi i uzupełnia, gdyż natura cyklicznie zmienia stany przechodząc od chaosu do uporządkowania i na odwrót. Warto by zrewidować niektóre podstawowe pojęcia, bo świat rozumiany i ujmowany przez nas w formułki jest niespójny. Nikomu jeszcze nie udało się stworzyć jednolitej teorii pola, nad czym zresztą strawił resztkę życia Einstein.

Cóż to jest układ izolowany? To puste pojęcie stworzone przez człowieka ku jego fizycznej, matematycznej i cybernetycznej wygodzie. Nawet meteor lecący w tak zwanej próżni kosmicznej nie jest układem izolowanym, gdyż równocześnie działa na niego wiele czynników: grawitacja, promieniowanie, zmiany temperatury, a wreszcie tarcie (choć znikome), no i konieczność lotu po torze, którego samoczynnie nie może zmienić.

Z prawami termodynamiki, tego fundamentu nauki, też coś nie tak. Powstawanie światów dowodzi, że chaos dąży nieustannie i skutecznie do organizacji (uporządkowania), a ich zagłada (śmierć) dowodzi, że uporządkowanie dąży do chaosu. Żyjemy w świecie zantagonizowanym, pełnym sprzeczności, kontrastów i nieodmiennie zwalczających się przeciwieństw, z czego można by wyciągnąć wniosek, że ewolucja wszechświata przebiega kołowo, a pojęcia i funkcje zamieniają się miejscami, co dowodziłoby pewnej determinacji, jakkolwiek różnej od wyrażanej przez nas w formułach. To, że słońca rodzi słońce, a informacja uporządkowanie (i na odwrót), nie dowodzi aby chaos musiał rodzić chaos, gdyż jak wiemy jest akurat odwrotnie i chaos po upływie nieokreślenie długiego czasu rodzi uporządkowanie, quod erat demonstrandum. Jeżeli rzeczywistość taka obraża prawa termodynamiki, tym gorzej dla praw, które ogólnie mówiąc nie są w całości słuszne. Dlatego twierdzenie, że świat wywiedlny z odwrotności termodynamiki jest nie do urzeczywistnienia może się okazać błędne. Jest to po prostu świat dla obecnego stanu nauki niewyobrażalny.

Wiemy, że istnieje na świecie antymateria, a nawet umiemy ją stwarzać laboratoryjnie. Prawdopodobnie istnieją galaktyki z antymaterii, a więc w naszym rozumieniu antyświaty. Być może tymi antyświatami rządzi antytermodynamika i wszystkie prawa (o ile są słuszne) należy brać na opak, bądź też stworzyć prawa absolutnie nowe. To oczywiście trywialne uproszczenie, służące jedynie jako inspiracja. A może taki świat, w niepojęty dla nas sposób, jest uzupełnieniem naszego świata, lub jego siłą napędową? Nasza galaktyka, której życie jest obliczone w przybliżeniu na dwadzieścia pięć miliardów lat, potem ginie, a jeszcze później odradza się. Gdzie istnieje owa siła napędowa, aby nie było sprzeczności z termodynamiką? Może antyświaty w jakiś niepojęty sposób stanowią napęd dla naszych światów i odwrotnie?

A ile jest różnych światów, sił i czynników, których istnienia raptem się domyślamy? Czarne dziury, światy zbudowane z quarków, kwazary, hipotetyczne cząstki grawitony, grawifotony, grawiskalary, luksiony, tachiony, tardiony... Zapewne dopiero wszystkie te światy i współczynniki razem tworzą sensowną całość, to znaczy wszechświat. A przecież mogą jeszcze istnieć miliardy innych światów zbudowanych na innych prawach i niedostępnych dla największych radioteleskopów, światów, których się w ogóle nie domyślamy, a wszystko to rozgrywa się w „naszym” trzecim wymiarze, albo jeśli kto woli, to w czwartym, bo w czasoprzestrzeni. Kto wie, ile może być wymiarów? Wiemy tylko, że z cyfr można tworzyć liczby, których ciąg jest teoretycznie nieskończony. W którym miejscu leży granica bytów? Na jakiej liczbie się zamyka, bo przecież chyba nie na cyfrach 3 lub 4. Co my w ogóle wiemy? Prawie nic. Umiemy się tylko wzajemnie prześladować i w tym doszliśmy do mistrzostwa.

Marzenie ściętej głowy

(Gnothi seauton)

Sprawa dotyczy zagadnienia, które, jak dotychczas, dla nikogo nie jest jasne. Zaczniemy od reanimacji. Powszechnie wiadomo, że reanimować można najpóźniej w pięć do dziesięciu minut po śmierci klinicznej, bo potem zachodzą w mózgu nieodwracalne zmiany ze względu na brak ukrwienia (dotlenienia). Niektórzy badacze i lekarze skłonni są przedłużyć ten okres w poszczególnych przypadkach do kilkunastu minut, ale nie to nas w tej chwili interesuje. Aby nie wzbudzać kontrowersji przyjmijmy ogólnie uznane pięć minut. Tak więc, co najmniej przez pięć minut mózg funkcjonuje, a więc żyje, choć stopniowo zamiera. Mózg, który funkcjonuje na pewno myśli i zdaje sobie ze wszystkiego sprawę, co do tego nie może być wątpliwości.

W czasie rewolucji francuskiej władała powszechnie taka krwiożercza pani, której było na imię gilotyna. Nawiasem mówiąc, funkcjonuje ona do dnia dzisiejszego. Jeżeli więc zdrowemu skądinąd skazańcowi zniecka ucina się głowę, jakie może być marzenie tej ściętej głowy, która jeszcze przez pięć minut zdolna jest do myślenia? Jakie to musi być uczucie mieć świadomość, że jest się już zabitym w okrutny sposób, mieć jasną, pełną świadomość i nie móc temu przeciwdziałać? Przecież mózg jest ośrodkiem dyspozycyjnym i bez jego rozkazu nie moglibyśmy nawet kiwnąć palcem, a tu nagle ten ośrodek dyspozycyjny, który nie ma już czym dysponować, bo całe jego włóci leżą oddzielnie, zdaje sobie z przerażeniem sprawę, że niczego się już nie da naprawić. Taka wizja jest ze wszechmiar makabryczna.

A może mózg traci świadomość i znajduje się w otępieniu, w jakimś stanie pomrocznym? Dlaczego jednak miałby z sekundy na sekundę stracić świadomość skoro potrafi funkcjonować przez pięć minut bez zasilania? Wydaje się to mało prawdopodobne. Jakie procesy myślowe mają miejsce w ciągu tych pięciu minut? (Jeżeli przyjmiemy, że mózg stopniowo zamiera, skróćmy ten okres i określmy jego pełną wydolność na jedną minutę. Taka minuta to otchłań czasu!) Gdyby się zgadzać z dr. Moody'm, to uczucie śmierci jest nie tylko przeżyciem niezwykłym i łączy się z określonymi doznaniem i wspomnieniami, lecz także jest uczuciem radosnym w sposób, którego się nie da opisać. I tutaj właśnie wyłania się pytanie, kiedy ustępuje cierpienie i zaczynają się radosne doznania, czy z chwilą dekapitacji, czy też w chwili ustania czynności mózgu? Bo jeżeli w chwili dekapitacji, to „bardzo optymistyczne”, ale jeżeli dopiero po ustaniu czynności mózgu, to niesamowicie przerażające, a wszystko wskazuje na to, że mózg funkcjonuje jeszcze po dekapitacji. Trudno dojść sedna sprawy, gdyż lekarze nie potrafią tego jednoznacznie wyjaśnić. Na szczęście ta makabra trwa (zgodnie z naszą umową) nie dłużej niż pięć minut. Prawdziwie makabryczny byłby dopiero pomysł sztucznego odżywiania takiego mózgu i utrzymywania go w stanie funkcjonalnym. To by była tortura do niczego nieporównywalna.

W odniesieniu do dekapitacji pozostaje nam tylko nadzieja, że taka głowa jest całkowicie otępiała, aż do chwili ustania pracy mózgu, bo trudno sobie wyobrazić, żeby samoistnie żyła ucięta głowa. Przecież nawet przy znacznie lżejszych „urazach” następuje szok i ludzie nie wiedzą przez jakiś czas, co się z nimi dzieje. Być może przysłowie jest mało trafne i nie ma

„marzeń ściętej głowy”. Oby tak było. Choć z drugiej strony myśl jest zjawiskiem stojącym ponad wszystkim, również ponad cierpieniem. Jak pisze Bleise Pascal („Myśli”) – „Wszystkie ciała, strop niebieski, gwiazdy, ziemia i jej królestwa nie mogą się równać wartością z żadną myślą; ona zna to wszystko i siebie; a ciała nie znają nic.”

Rozmyślając nad doznaniem pacjentów dr Moody nie należy przeczyć faktom, bo książka napisana jest w sposób precyzyjny i obiektywny. Nie tłumaczy jednak zjawisk towarzyszących umarłym i reanimowanym. Jak zrozumieć te błyskawicznie przebiegające wspomnienia z całego życia, plastyczne i kolorowe wizje, które trwają niekiedy zaledwie przez część minuty? Może dzieje się z tym podobnie, jak z taśmą magnetofonową lub magnetowidową: można ją powoli nagrywać i bardzo prędko kasować. Jeżeli mózg przez całe życie „nagrywa”, to znaczy rejestruje i szereguje informacje, co nazywamy zapamiętywaniem – to może w chwili śmierci cała ta zapisana „taśma”, czyli pamięć, ulega gwałtownej kasacji. Może kasuje się ona właśnie w ciągu tych pięciu minut i przed zmarłym przewijają się obrazy z całego życia, bardzo jasne, czytelne i równie konkretne jak rzeczywistość? Podobnie, jak w magnetofonie dwie szpule, w czaszce mieszczą się dwie półkule mózgowe, które stale ze sobą współpracują. Na temat tej współpracy nie wiemy zbyt wiele, wiemy jednak, że lewa półkula odpowiada za bodźce analityczno-racjonalne, zaś prawa za intuicyjno-emocjonalne.

Ażeby móc skasować zapis w magnetofonie, trzeba cofnąć taśmę. Gdyby zastosować pełną analogię, wspomnienia-obrazy pojawiałyby się w odwrotnej kolejności, od starości do dzieciństwa, a temu przeczają relacje reanimowanych. Porównanie z taśmą jest niezwykle trywialne, lecz za to czytelne. Więc może cofnięciem taśmy-pamięci jest sam moment śmierci, a kasacja przebiega w błyskawicznym tempie, ale w odwrotnej kolejności? A może pod(nad)świadomość rejestruje wszystko inaczej niż świadomość i wszystko ma gotowe na każde zawołanie? Zresztą niektóre charakterystyczne momenty wizji reanimowanych ukazują się także winnych okolicznościach, niekoniecznie w chwili śmierci. Oto co pisze Benvenuto Cellini (1500–1571) o swojej wizji w więzieniu (B.C. „Żywot własny”, PIW 1953, str. 191).

„Wstępowałem coraz szybciej i wszedłem w ten sposób tak wysoko, że wreszcie ukazał mi się cały krąg słoneczny. Siła promieni jego zmusiła mnie, jak zwykle, zamknąć oczy; wnet jednak spostrzegłem swój błąd i otworłem oczy; śmiało utkwilem je w słońcu i rzekłem: „O, słońce moje, jakże do ciebie tęskniłem! Nie chcę już nigdy widzieć nic więcej, choćby promienie twoje oślepić mnie miały!”

Tak stałem z utkwionymi w słońce oczyma; patrzyłem w nie chwilę nagle ujrzałem, że cała potęga jasnych promieni przerzuciła się w lewą stronę słońca; słońce stało się czyste, bezpromienne; patrzyłem na nie z największą rozkoszą; wydało mi się rzeczą przedziwną, że promienie odwróciły się w ten sposób. Poznałem cudowną łaskę, którą Bóg mi tego rana okazał i rzekłem głośno: „O, jak cudowna jest Twoja potęga, jak chwalebna Twoja moc! O ileż większą łaską mnie darzysz niż mogłem tego oczekiwać!”

To słońce bez promieni zdawało mi się wprost kapielą w najczystszyim płynnym złocie. Gdy patrzyłem na ten wielki dziw, ujrzałem, że środek słońca zaczyna się wzdymać, rósć i nagle utworzył się w tym miejscu Chrystus na krzyżu, z tego samego tworzywa co słońce. Był tak piękny, tak dobrotliwy z wejrzenia, że umysł ludzki nie mógłby tak wyobrazić go sobie ani w tysięcznej części. Patrząc nań zawołałem głośno: „O, cudzie, cudzie! O Boże, o łaskawy, nieskończenie dobry Boże! Czegoż to godnym uznałeś mnie dzisiaj!” Gdy tak podziwiał Go i mówił te słowa, Chrystus przesunął się ku tej stronie, gdzie znikły promienie, a środek słońca wydał się znowu jak wprzód, rósł przez chwilę i nagle zmienił się w postać przepięknej Madonny, która, wysoko wzniesiona, z synem w ręku siedziała w postawie wdzięcznej, jakby uśmiechnięta; po obu jej stronach stali dwaj anieli, piękni nad pojęcie. Widziałem dalej w tym słońcu po prawej stronie postać odzianą w szaty kapłańskie, zwróconą do mnie tyłem, a twarzą ku Madonnie i Chrystusowi. Wszystko to widziałem rzeczywiście, jasno i żywo i dziękowałem nieustannie chwale bożej głosem wielkim.

Cudowne to widzenie trwało przed oczyma mymi ósmą część godziny i potem znikło; i zanesiony byłem znów na swój barłóg. Natychmiast zawołałem głośno: „Wszechmoc Boga uznała mnie godnym objawienia mi się w całej swej chwale, której nie widziało może nigdy oko śmiertelne...”

W co winniśmy wątpić i czemu przeczyć? Co właściwie wiemy o mózgu? Mimo wciąż nowych odkryć wiedza nasza jest fragmentaryczna i raczej prawdopodobna niż pewna. W każdej kwestii dotyczącej mózgu opinie są podzielone. Zakładamy, że mózg składa się w przybliżeniu z czternastu miliardów neuronów, a niektórzy uczeni twierdzą, że jest ich wielokrotnie więcej. Jaka możliwa ilość kombinacji, czyli operacji mózgowo–myślowych może powstać przy czternastu miliardach neuronów? Możliwość taka równa jest dziesiątce z dwoma milionami ośmiuset sześćdziesięcioma tysiącami zer, różnych połączeń międzyneuronowych, czyli kombinacji myślowych. Przypuszczalnie jest to liczba możliwości większa, niż ilość wszystkich elektronów we wszechświecie. Tego w żaden sposób nie można sobie wyobrazić. Można to po prostu przyjąć i odnotować jako suchy fakt.

Wiemy o tym, że nawet patrzenia musi się dziecko uczyć od zera. Myślę więc, że mózg jest selektorem różnorodności świata i zajmuje się zbieraniem informacji przydatnych, a raczej odsiewaniem informacji obojętnych i zbędnych. Jak on to robi, tego dokładnie nikt nie wie. Wiadomo natomiast, że mózg ma w przybliżeniu dziesięć tysięcy głównych obwodów krążenia impulsów w korze, a każdy obwód jest w pewnym sensie autonomiczny i dąży do zdobycia preferencji, a więc do zdominowania innych, z którymi współpracuje. Chyba z tej różnorodności dominacji u różnych osobników biorą się różnice charakterów, temperamentów i światopoglądów. Nie od rzeczy tu będzie odstąpić o krok od głównego tematu i zacytować prof. J.M. Bocheńskiego („Logika i filozofia” PWN 1993 str. 258):

„Logicznie jest to zjawisko bez znaczenia, ale kulturalnie bardzo interesujące, że absurd – egalitaryzm epistemiczny – wydaje się dzisiaj tak szeroko rozpowszechniony. Świadczy to mianowicie o tym jak pewni ludzie uznają za prawdziwe niektóre zdania oczywiście fałszywe... Tak np. twierdzenie „Wszyscy ludzie są równi”. Jeśli się dokładnie nie wyjaśni, pod jakim względem mają oni być równi, jest to po prostu bezsens. A bardzo trudno powiedzieć w jakiej dziedzinie i pod jakim względem ludzie mają być równi, niezależnie od założeń religijnych, albo czysto prawnych. Ludzie nie są równi ani fizycznie, ani psychicznie, ani moralnie. Istnieją ludzie silniejsi i słabsi, inteligentniejsi i głupszy, lepsi i mniej dobrzy, istnieją nawet zbrodniarze. Pod jakim więc względem ludzie są równi? W każdym razie, aby do naszego tematu powrócić, twierdzimy, że nie pod względem wiedzy. Wolno zatem sformułować następujące twierdzenie:

„Ze względu na wiedzę ludzie nie są równi.”

Zresztą osobowość każdego człowieka stopniowo się zmienia, bo przecież inny jest światopogląd dziecka, inny młodzieńca, a jeszcze inny staruszka. Można by więc powiedzieć, że osobowość zmienia się w miarę przybywania doświadczeń, czyli informacji. Tylko, co to takiego ta osobowość? Sądzę, że osobowość to pewien rodzaj pojmowania świata i próby przystosowywania się do okoliczności, a nawet do zagadnień abstrakcyjnych. To jest właśnie to, co najbardziej odróżnia człowieka od zwierzęcia i od tak zwanych maszyn myślących. A także i to, że człowiek jest zawsze nastawiony na przyszłość (zwrócony ku przyszłości), antycypujący. Z powyższych zdań można by wysnuć wniosek, że czynnikiem, który najbardziej odróżnia człowieka od maszyny jest świadomość, ale i na ten temat istnieją różne poglądy. Zajrzyjmy do słownika filozoficznego z 1975 r. (Philosophisches Wörterbuch VEB Bibliographisches Institut – Leipzig – 1975). Pod hasłem „inteligencja” znajdujemy taką definicję:

„Inteligencja–(właściwie) rozumienie, pojmowanie. Istota wrodzonych intelektualnych zdolności, właściwego pojmowania istoty rzeczy. Można ją rozwijać w kontaktach z innymi inteligentnymi ludźmi, wymieniając poglądy, wzbogacać nauką, wiedzą i integrować je.”

Dokonywane na podstawie znanych przesłanek próby uchwycenia zasadniczych różnic pomiędzy inteligentnym zachowaniem człowieka i działaniem (sprawnością) elektronicznych maszyn liczących, nie wytrzymują krytyki. Może się okazać, że maszyny zasadniczo będą mogły imitować poszczególne cechy inteligencji. Dlatego w założeniu dopuszczalne jest przewidywanie cybernetycznej abstrakcji, snucie przypuszczeń na temat inteligencji maszyn i sztucznej inteligencji. Dokładna analiza wskazuje na to, że samo pojęcie „genialności” może zostać wyjaśnione cybernetycznie. Nie ma rozsądnych podstaw, ażeby zakładać, że maszyny przyszłości nie będą mogły ogarnąć najszerszych horyzontów myślenia, a nawet ich poszerzyć (przewyższyć, prześcignąć). Dlatego należy zmierzać do konstrukcji takich typów maszyn, dla których możliwa będzie wolna wymiana informacji z otaczającym je środowiskiem i które zaczną się same optymalizować.

Wyrażane przeciw temu pogładowi sprzeciwy są natury emocjonalnej. Bazują one często, świadomie lub nieświadomie, na przekonaniu, że inteligencja, a zwłaszcza genialność mają charakter irracjonalny. Wywodzą się z przeświadczenia, że sprawność komputerów przyszłości jest poniekąd obelżywa i uchybia ludzkiej godności. Tego rodzaju obiekcje są do obalenia, gdyż są porównywalne do ówczesnych zastrzeżeń przeciwko teorii Darwina, wywodzącej pochodzenie człowieka od zwierząt’ (tłum. własne).

Czym więc jest świadomość? Czy można przyjąć definicję, że „świadomość, to suma informacji plus suma pamięci i ich wzajemne powiązania kombinatoryczne, oraz suma domysłów antycypujących przy równoczesny, notowaniu terażniejszości”. Oczywiście można przyjąć ten pogląd, istnieją jednak definicje krótsze i bardziej naukowe. Oto jedna z nich: „Świadomość to taka cecha układu, którą obserwuje się jedynie wtedy, gdy samemu jest się tym układem”.

A może spory pomiędzy półkulami mózgu wytwarzają idee, a świadomość jest wynikiem ich zmagania i wzajemnego zantagonizowania? Takie domniemanie jest bardziej ryzykowne. A może należałoby zacząć od pytania, z czego składa się świadomość? Na tak postawione pytanie łatwiej już znaleźć odpowiedź: świadomość składa się z procesów myślowych, podobnie jak las składa się z drzew i podsycia, stóg ze słomy, ocean z kropel wody, a wojsko z żołnierzy. Pojedyncze drzewo to proces myślowy, a las to świadomość. Nadal jednak pozostaje otwarte pytanie, ile musi być tych „drzew”, żeby powstał „las”? Na ile skomplikowane muszą być maszyny, ażeby uzyskały świadomość? Może po przekroczeniu pewnego progu komplikacji powstają właśnie takie typy sprzężeń, które nazywamy świadomością? Może budowa takich maszyn będzie w nieodległej przyszłości możliwa, bo nie jest powiedziane, że musi to być komplikacja, aż rzędu naszego mózgu. Za takim poglądem przemawia fakt, że nasz mózg jest zdecydowanie nadmiarowy. Udowodniono, że pamięć ludzka zawiera około miliona razy więcej utrwalonych informacji, niż człowiek w stanie świadomym jest zdolny sobie przypomnieć. Doświadczenia przeprowadzano na ludziach wprowadzanych w stan hipnotyczny. Okazało się, że murarz pamięta każdą cegłę, którą wmurował szereg lat temu i wie, jaki która ma feler lub plamkę, co przy rozbiórcie doświadczalnie sprawdzono. Okazało się, że ani razu się nie pomylił, ale po przebudzeniu w ogóle nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy i nic nie pamiętał.

Czy wykluczając podświadomość (nadświadomość) i budując układ około miliona razy mniej skomplikowany od ludzkiego mózgu, można by już osiągnąć w takim układzie przejawy świadomości? Wydaje się to wątpliwe. Obydwa mózgi miałyby głębię logiczną, ale tylko żywy umiałby, moim zdaniem, myśleć abstrakcyjnie. Ponadto nadmiarowość ludzkiego mózgu jest w pewnym sensie problematyczna, a w pewnym sensie konieczna. Otóż mózg traci codziennie około stu tysięcy neuronów i na starość zostaje mu około sześćdziesięciu pięciu procent mocy wyjściowej.

A gdyby tak, przynajmniej teoretycznie, stworzyć sieć o dostatecznej komplikacji, a nawet większej od ludzkiego mózgu? Wydaje się to raczej niewykonalne, bo w układach bardzo

skomplikowanych poszczególne podukłady (obwody) dążą do autonomii i dominacji, więc różne procesy wychodziłyby spod kontroli naczelnej i byłyby konfliktowe. W przełożeniu na język ludzki, taka maszyna mogłaby dostać jakiejś swoistej schizofrenii czy paranoi, bądź też powodowałaby zwarcia i ustawiczną konieczność samonaprawy, a więc byłaby zajęta wyłącznie samą sobą. A i systemy samonaprawcze też mogłyby ze sobą konfliktować, dążąc do preferencji. Mogłyby też konfliktować w sposób podobny, jak u człowieka. Na przykład ktoś ma zmiany reumatyczne i trudno mu chodzić, więc lekarz ordynuje „Brufen”, ale Brufen rozwała mu wątrobę. Leczy się więc na wątrobę środkami, które szkodzą, powiedzmy, na serce. Chce leczyć serce środkami pobudzającymi, które podnoszą ciśnienie krwi, lecz jest wysoko-ciśnieniowcem i może dostać wylewu do mózgu. Inaczej mówiąc, stwarza się błędne koło (circulus vitiosus) i procesy zaczynają umykać spod naczelnej kontroli. U człowieka równa się to starości i zbliżaniu się ku śmierci, a u maszyny? Trudno jest znaleźć na to jednoznaczna odpowiedź. W każdym razie komplikacja układu niesie ze sobą określone groźby. Im większy stopień komplikacji, tym większe prawdopodobieństwo usterek. Jeżeli każda z części jest w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach niezawodna, bo przecież o stu procentach nigdy nie może być mowy, a tych części są setki lub tysiące, to niezawodność układu jest raz na zawsze wykluczona. Układy proste są w pewnym sensie doskonalsze od układów złożonych i bardziej niezawodne. (Np. uszkodzenie kowadła nie jest sprawą prostą i łatwą.)

Są jeszcze inne aspekty związane ze świadomością. Kto wie, czy nie jest ona potrzebna do autoreprodukcji i mogą ją mieć jedynie układy biologiczne? Należałoby podjąć próbę budowy maszyny zdolnej do autoreprodukcji, ale wydaje się to generalnie niemożliwe. Zdaje się, że maszyny nigdy nie będą posiadać zdolności do samoreprodukcji, ani do poznania siebie samych. Nawet u człowieka mózg nie jest zdolny do poznania samego siebie, a ludzka samowiedza jest pozorna. (Nad portykiem świątyni Apolla w Delfach widnieje napis „Gnothi seauton”, co znaczy „Poznaj siebie samego”.) Bardzo często o powzięciu decyzji przesądza fakt spoza obszaru świadomości, a nawet czasem podejmujemy decyzje sprzeczne z wyrozumowanymi. Niezależnie od naszej niewiedzy, wiemy jedno: w niektórych okolicznościach człowiek zdobywa się na czyny, o które nigdy by siebie nie podejrzewał, działając wbrew własnym przekonaniom, a nawet interesom. Oznacza to, że własny mózg stanowi dla posiadacza tajemnicę i zagadkę, a w niektórych przypadkach jest jak gdyby „czarną skrzynką”, czy też „skrzynką z niespodziankami”. Jest on polem nieustannej walki o preferencję jednych ośrodków nad drugimi, a także walki popędów z hamulcami moralnymi. Trzeba się siebie samego stale uczyć i dopiero znając własne błędy i skłonności można sobą jako tako kierować na zasadzie zgadywanki, że „raczej postąpię tak i tak”. (Osobiście sędzę, że różni nikczemnicy i zwyrodnialcy dlatego zazwyczaj zdobywają przewagę w walce o władzę, że znacznie łatwiej im przewidzieć własne postępowanie, nie ograniczone hamulcami moralnymi.)

Głównym zadaniem mózgu jest sterowanie organizmem, bo przecież jest on ośrodkiem dyspozycyjnym, sterownią. Zlokalizowanie świadomości jest niemożliwe, bo w mózgu istnieją różne systemy powiązań i pobudzeń, a decyzje, które są dzisiaj uprzywilejowane jutro mogą zostać zepchnięte, zablokowane. Co więcej, istnieją również decyzje logicznie sprzeczne. Lecz najbardziej dziwne w tym wszystkim jest to, że mózg składa się z takich samych komórek jak ręka czy noga, a nawet pień sosny czy liść klonu.

Inaczej mówiąc, wszystkie żywe ustroje zbudowane są z takich samych komórek, albo, jeśli ktoś woli, wyrażone tym samym językiem genów.

Wszystkie księgi i dzieła świata składają się z dwudziestu kilku liter alfabetu, a pisanie nowych dzieł i prowadzenie rozmów może trwać przez miliardy lat, aż do wygaśnięcia słońca. Co dziwniejsze, wszystko to można wyrazić alfabetem Morsa, który składa się jedynie z kropki, kreski i pauzy.

„Język” ustrojów żywych zbudowany jest z dwudziestu „liter” aminokwasów, a wyraża wszystko to, co nas otacza i co rozumiemy, a także i to, co było niegdyś, i to co będzie i czego

nie jesteśmy zdolni przewidzieć. Istnieją więc obok siebie dwa alfabetu: język ludzki – opisowy i język przyrody – sprawczy, przy czym ten pierwszy powstał z tego drugiego. Słowa składają się z liter ludzkiego alfabetu i mają moc informacyjną. Słowo, jakim jest nić kwasu DNA też składa się z liter, a są nimi aminokwasy, i posiada moc sprawczą. Z tego słowa powstało i wciąż powstaje życie na ziemi, przybierając najróżnorodniejsze formy.

W ewangelii św. Jana, w rozdziale pierwszym, powiedziane jest: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo. Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało. W nim był żywot...” Trzeba przy tym pamiętać, że wyraz „Słowo” został napisany z dużej litery, podobnie jak „Bóg”. Stąd można wysnuć wniosek, że ewangeliczne „A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami” należy brać dosłownie. Jak z tego widać, słowo Słowu nierówne.

Tak oto z „marzeń ściętej głowy” stopniowo wyłonił się osobliwy zestaw: mózg, komórka, słowo, wiara. Może wiara nie przenosi gór, ale bardzo w życiu pomaga. Wiara w wyzdrowienie często (choć nie zawsze) leczy chorego. Przykładem może być zastosowanie placebo. Jeżeli chory w nie uwierzy, to bardzo prędko powraca do zdrowia i wtedy z całą pewnością można stwierdzić, że uleczyła go wiara. A wracając do mózgu, to ma on podsystemy, które są zmienne, stąd różne reakcje na to samo zjawisko. Raz więc ten sam chory może zostać uleczony, a innym razem nie. Tak czy owak, wiara na pewno nie przeszkadza, a raczej pomaga w prawidłowym postępowaniu. Zastosujmy taką parabolę: Ktoś wyszedł „poza czas” i spogląda na życie, jak na rozciągniętą taśmę filmową. Ten ktoś, na kim wierzącemu bardzo zależy, widzi wszystko równocześnie, każdy postępek. Szczerze wierzący musi się więc ustawicznie kontrolować, by działać szlachetnie i etycznie. Jest to duży stopień utrudnienia, ale opłacalny w skutkach.

Ponieważ, jako się rzekło, słowo Słowu nierówne, należy czytać bardzo uważnie, bo „prześlizgiwanie” się nad tekstem (czego uczył „Przekrój”) niewiele daje. Amerykanin Thoreau powiedział, że książki powinny być czytane z taką samą wnikliwością, z jaką były pisane, a Whitte ocenił, że przeciętny czytelnik rozumie zaledwie pięćdziesiąt procent w czytany tekście. Melchior Wańkowicz w „Karafce La’Fontaina” przytacza jeszcze wypowiedź Anglika, doktora Johnsona, który doszedł do takiego wniosku: „Jeżeli czytamy dla jakiegoś celu, połowę naszej uwagi zaprzęta ta docelowość i tylko połowa nastawiona jest na pełny odbiór walorów”.

Sądzę, że dotyczy to przede wszystkim krytyków.

Wymiary

W oparciu o prawo zachowania energii z dużym uproszczeniem można stwierdzić, że jeżeli wraz ze śmiercią coś się kończy, to przecież coś się także i zaczyna, więc jest to po prostu kontynuacja bytu, tyle że w innej formie. Nie jest powiedziane, że forma ta musi być gorsza lub lepsza. Ona jest zupełnie inna i dla nas niepojęta. Werner von Braun wyraził taki pogląd: „Nauka dowiodła, że nic nie ginie bez śladu. W naturze nic nie ulega zniszczeniu, lecz przeciwnie”, a Alex Schneider, profesor fizyki, napisał: „Z punktu widzenia fizyki nie ma, jak dotąd, zastrzeżeń, jeśli idzie o wyłapywanie zjawiska głosów z kosmosu”. Trzeba tu dodać, że miał na myśli głosy osób zmarłych, nagrywane na taśmę magnetofonową.

Zdajemy sobie sprawę, że nie wszystko możemy wiedzieć, a strach i ciekawość pchają nas częstokroć do postępków nieobliczalnych i w najwyższym stopniu paradoksalnych, bo jakże inaczej wytłumaczyć fakt, że ze strachu przed śmiercią ktoś popełnia samobójstwo?

Maurycy Maeterlinck w swoich rozważaniach o śmierci wszystko co złe stawiał po stronie życia, a więc zarówno cierpienia, jak i obawy. Pełen cierpień bywa koniec rozdziału, który nazywamy życiem, bo tego co przynosi następny rozdział pod tytułem „śmierć” nie znamy. Oglądamy zwłoki tak, jakbyśmy oglądali zamkniętą książkę, nie mając pojęcia o jej treści. Wszystko, co wysnuwamy z bojaźni i z wyobraźni jest jedynie luźnym, niczym nie umotywowanym przypuszczeniem, być może całkiem niepodobnym do zamkniętego dla żyjących, dalszego ciągu rzeczywistości. Załóżmy, że księga ma dwa rozdziały: „Życie” i „Śmierć”. Rozdział, który znamy z autopsji nie pozwala nam niestety na snucie dalszego ciągu treści księgi, bo akcja przenosi się w nieznane nam regiony, których nawet nie jesteśmy zdolni sobie wyobrazić. Możemy, rzecz jasna, zrobić założenie, że życie to jedynie krótkie opowiadanie, nowelka, na co wskazywałaby jego efemeryczność na tle miliardleci. Wolimy jednak przypuszczać, że jest to powieść w odcinkach i mocno zaintrygowani oczekujemy dalszego ciągu. Dalszy ciąg nastąpi, na pewno, tyle że pod postacią, jakiej się, być może, w ogóle nie spodziewamy, oczekując naiwnie kontynuacji świadomości, reinkarnacji lub niebytu. A jeżeli jest to zupełnie inny byt z zachowaniem pamięci o przeżyciach na ziemi, jako o przelotnym epizodzie? A jeżeli jest to dalszy świadomy byt ducha bez zachowania pamięci w wyobrażeniu ziemskim? W takim przypadku śmierć niczym lub prawie niczym nie różniłaby się od amnezji, byłaby więc czymś w rodzaju urazu po przebytych zajęciach, to znaczy „wypadku”, jakim było życie. Znamy przecież z doświadczenia (cudzego) przypadki amnezji. Po doznaniu urazu człowiek niby to żyje, ale nie jest to już ten sam człowiek, skoro niczego nie pamięta: ani rodziców, ani żony, ani nawet własnej twarzy, własnego zawodu i wszystkiego musi się uczyć od nowa. Żyje więc, mówiąc szczerze, po raz drugi, a wypadek, który spowodował amnezję był niczym innym, niż śmiercią poprzedniej osobowości. To tak, jakbyśmy na taśmie magnetofonowej (magnetowidowej) wymazali cały zapis i rozpoczęli nowe nagranie. Taśma pozostaje ta sama, ale stanowi nośnik odmiennych treści i może tak trwać i notować setki razy od nowa. Jeżeli więc nasze życie jest tylko jedną z możliwych wersji na tej taśmie, to co stanowi samą taśmę, co jest rdzeniem, nośnikiem? Zwykliśmy to nazywać duszą lub duchem, ale gdyby per analogiam przyrównać takiego ducha (lub duszę) do taśmy, to okaza-

łoby się, że ta dusza jest martwa i użyteczna jedynie jako przekaźnik czy też zbiornik różnych doznań, jest więc samozacierającym się nośnikiem informacji. W takim ujęciu dotychczasowe wyobrażenie duszy traci dla człowieka wszelki istotny dla niego sens, bo człowiek niczego się tak nie boi, jak samozacierania (utruty) pamięci informacji. Niestety takiej duszy nie dałoby się zastąpić niczym, co najwyżej inną duszą, podobnie jak jedna taśma może zostać zastąpiona przez drugą, ale w naszym subiektywnym, emocjonalnym odczuciu to żaden zysk, przeciwnie, to niczym niepowetowana strata.

A może przyjąć jeszcze inną wersję? Na przykład: wszystkie wydarzenia stoją w miejscu, to my się przesuwamy w czasie, spotykamy je i mijamy podobnie jak podróżny mija krajobrazy. W pewnej chwili dojeżdżamy do stacji „śmierć”, ale zaraz ruszamy dalej, aby podziwiać całkiem nowe krajobrazy. Nie widzę powodu, dla którego takie wyobrażenie śmierci miałyby być gorsze od innego. Na szczęście pozostawiono nam w tym względzie całkowitą swobodę i możemy sobie wyobrażać, co się nam żywnie podoba. (Jedynie religie usiłują okiełznać ludzką wyobraźnię i pchnąć na określone tory.) Właśnie dalszy ciąg podróży, a więc życie po śmierci może się okazać realizacją takich wyobrażeń, bo na dobrą sprawę nie wiemy jaki jest świat i jakie są jego właściwości. Znamy jedynie maleńki wycinek rzeczywistości i jego właściwości lokalne.

Mówi się, że świat jest zagadkowy. To nieprawda. On jest taki jaki jest i niezależnie od naszych poglądów rządzi się własnymi prawami. Dla każdego kto poznałby te prawa wszystko stałoby się jasne i przejrzyste. Tak więc świat bardziej przypomina skomplikowane równanie niż zagadkę. Oczywiście rozwiązanie tak skomplikowanego równania wydaje się być raz na zawsze niepodobieństwem, tym bardziej, że posiadamy bardzo niedokładne dane, zapisy i teorie są wewnątrznie sprzeczne, a na domiar różnią się pomiędzy sobą. Głosimy więc nasze „naukowe” racje wysnute z niewiedzy i dlatego są one nader wątpliwe. Świat, który znamy jest niczym innym, niż katalogiem nieskończonej ilości części, zjawisk i ich wzajemnych powiązań. Dlatego właśnie nigdy nie będziemy wszystkiego wiedzieć ani wszystkiego ze sobą kojarzyć, co na szczęście nie jest konieczne, a jedynie może stanowić temat do innych rozważań. Przejdźmy więc do nich.

My, trójwymiarowi, chodząc po ziemi rzucamy na nią dwuwymiarowy cień, który nic nie wie o naszym istnieniu. Można sobie wyobrazić i taką wersję: my sami jesteśmy jedynie trójwymiarową projekcją wymiaru wyższego rzędu. A może jesteśmy jeszcze zgoła kimś innym, a projekcją taką są zjawy dostrzegane przez ludzi obdarzonych zdolnościami parapsychicznymi? Odpowiednikami trójwymiarowych cieni mogą być postacie, które zwykliśmy nazywać zjawami lub duchami. Byłoby to więc zjawisko trójwymiarowe lecz o konsystencji cieni i o możliwościach przenikania przez materię, co my w naszej niewiedzy nazywamy cudami albo szalbierstwem, lub w ogóle przeczyśmy możliwości istnienia takich zjawisk.

A teraz coś z teorii Einsteina, ale z „Teorii Einsteina” Antoniego Cwoidzińskiego: Gdyby cieniowi siedzącemu wewnątrz kręgu z cienia wynieść z owego zamkniętego kręgu cienie-meble (oczywiście sięgając z góry), musiałby stwierdzić, że stał się cud, bo w kręgu nie ma przerwy, a on sam siedział przez cały czas w środku. Mógłby także zaprzeczyć rzeczywistości (podobnie jak my przeczyśmy istnieniu UFO), bądź uznać zajście za zjawisko paranormalne (podobnie jak my lewitację, psychokinezę), ale nie mógłby zrobić rzeczy dla nas najprostszej: spojrzeć w górę. Nie znając pojęcia góra–dół, jako istota dwuwymiarowa znalazłby jedynie pojęcie szerokość–długość. Manipulując z góry można by „dokonywać cudów” rzucając do zamkniętego kręgu cienie mebli, zajaczków itp. Jako istota dwuwymiarowa musiałby się uciec do szukania rozwiązań w „cienistej” parapsychologii, czy też, jak się to modnie nazywa, psychotronice. Może się to wydać śmieszne i nierealne, ale nie jest wykluczone, że i my sami jesteśmy takimi trójwymiarowymi cieniami w czterowymiarowym świecie, a wszystko co nas zdumiewa i zaskakuje jest całkowicie oczywiste dla istoty czterowymiarowej, żyjącej w pięciowymiarowym świecie.

Istota czwartego wymiaru, choć w całej swej złożoności dla nas niepojęta, została jednak uznana przez naukę i określona jako czasoprzestrzeń. Tak więc my trójwymiarowi żyjemy w czterowymiarowym świecie, rzucając dwuwymiarowy cień i analogicznie byty (istoty) czterowymiarowe winny żyć w piątym wymiarze, rzucając cienie trójwymiarowe. Świat, który badamy i systematyzujemy jest dla nas wciąż niepojęty, poglądy uczonych odwiecznie zmieniają się (przeszliśmy z teorii geocentrycznej na heliocentryczną z geometrii euklidesowej na nieeuklidesową; z teorii Newtona na teorię Einsteina itp.), teorie ewoluują ale nawet największe osiągnięcia nauki nie wszystko tłumaczą i nigdy nie docieczemy końca, bo ustawicznie rosnąca wiedza poszerza informacje i mnoży pytania w sposób lawinowy, nie do ogarnięcia umysłem. Przybraliśmy sobie do pomocy komputery. Przy odrobinie fantazji i bez pretendowania do ujęć naukowych, od biedy każdą teorię możemy uznać za częściowo słuszną i rokującą nadzieję. Wobec ogromu tajemnic, jakie kryje wszechświat, fantazja może się okazać bronią bardziej skuteczną niż osławiona „brzytwa Ockhama”. Przeczucia pisarzy fantastów już niejednokrotnie wyprzedzały najśmielsze oczekiwania naukowców, a co ważniejsze inspirowały ich do poszukiwań na nowych drogach.

Ciekawe z ilu wymiarów składa się świat i ile projekcji rzuca w niższe wymiary podobnie, jak my rzucamy cienie lub puszczaamy lusterkiem „zajączki”? A może nasz trójwymiarowy świat stanowi raptem najniższy szczybel możliwego do pomyślenia bytu materialnego i drugi wymiar jest fikcją podobnie jak hipotetyczny punkt jednowymiarowy?

Nam się wydaje, że rzucające przez nas cienie i „zajączki” nie mają trzeci ego wymiaru, sądzą jednak, że jest to błędne mniemanie, bo w pierwszym przypadku ujmujemy fotonów światła, zaś w drugim ich przydajemy. Dlatego pomiędzy cieniem a „zajączkiem” musi istnieć różnica grubości, choć dla nas, ze względu na ułomność aparatury pomiarowej, niemiernalna. Przecież obszar (strefa) cienia, to przestrzeń pozbawiona pewnej ilości fotonów, a więc, biorąc logicznie, jego grubość winna być w jakimś sensie ujemna. Tak czy owak, dwuwymiarowość cienia jest fikcją. Może ta rzekoma grubość cienia jest jego właściwością parapsychiczną, jakimś wtargnięciem w trzeci wymiar – podobnie jak w naszym przypadku częściowym wtargnięciem w czwarty wymiar są zjawiska telepatii, psycho(tele)kinezy? Są to zagadnienia, które warto by dokładnie przemyśleć, gdyby nie fakt, że życie jest takie krótkie. Przy jego efemeryczności szkoda na to czasu, bo niedługo, to znaczy w chwili śmierci prawdopodobnie poszerzymy swoją wiedzę co najmniej o jeden wymiar. A jeżeli ścieżka na taśmie naszego magnetowidu ulegnie całkowitemu zatarciu, to i tak nie będzie tego komu żałować.

Z dużym uproszczeniem można powiedzieć, że światy niższego rzędu są kontrolowane przez światy wyższego rzędu, niby przez „Oko Opatrzności”. W naszym trzecim wymiarze ma to zastosowanie jedynie w odniesieniu do cieni, bo niższe inteligencje nie są kontrolowane przez wyższe. Często bywa całkiem na odwrót: nie ten się wyżej wspina kto inteligentniejszy i nie zawsze strażak, który stoi najwyżej na drabinie jest najwybitniejszym strażakiem. Ale to już zupełnie inna kwestia.

Nieco inaczej

Ludzkie życie potraktowane jako przejściowy etap Wielkiej Odmiany dałoby się sprowadzić do uproszczonej formuły, w myśl której celem życia jest śmierć. Finałem, zgoda, ale nie celem. Oczywiście można przyjąć i takie założenie: „Każda droga gdzieś się kończy, a więc prowadzi do jakiegoś określonego celu. Życie nieodmiennie wiedzie ku śmierci, a więc celem życia jest śmierć”. Jednak podobnie, jak niektóre drogi kończą się bezdrożem, czy też pustkowiem, życie może się kończyć niebytem. Można także ująć temat całkiem inaczej w sposób wywiedlny z Biblii, a jednak heretycki.

Pismo Święte głosi, że istnieje piekło, niebo i czyściec. Do nieba idzie się za życie na wskroś szlachetne, do piekła za życie zdecydowanie podłe i grzeszne. Dusza, której bilans dobrych i złych uczynków zachowuje równowagę, czy też przewagę zła, a więc nie zasługuje na niebo, czyli szczęśliwość, ani na piekło, czyli wieczną mękę – dusza taka idzie do czyścica. W tym czyścicu cierpi srogo, jak w piekle, ale nie cierpi wiecznie, bo czyściec jest etapem przejściowym, wiodącym do nieba. Tak więc jest on bez porównania lepszy od piekła bo udręczonej duszy przez cały czas przyświeca nadzieja.

I oto nasuwa się nieodparty, logiczny wniosek, a jest to logika wywiedlna z Biblii. Ponieważ nikomu życie nie ściele się wyłącznie po różach, a ponadto nie jest wieczne – na pewno nie przebywamy w niebie, czy też w raju. Życie bywa dostatecznie podłe i niejednokrotnie się powiada, że to istne piekło. Wojny, zarazy, wycieki radioaktywne, obozy koncentracyjne, więzienia, nieustanna walka wszystkich ze wszystkimi, wszystko to upoważnia do stwierdzenia, że żyjemy w piekle, i niewątpliwie tak można by było twierdzić, gdyby życie ludzkie nie miało kresu. Żyjemy jednak krótko, a przez cały czas przyświeca nam nadzieja. Można stąd wysnuć jednoznaczny wniosek, że znajdujemy się w czyścicu, w miejscu, które nie jest lepsze od piekła, lecz z którego wyzwoli nas śmierć. Żyjemy tu jak przechodnie, pełni wiary w zmianę na lepsze. Można znaleźć i dodatkowy argument: gdy umiera jakiś dobry człowiek, powiada się: „że też Bóg musiał zabrać właśnie jego. Tyle jest na świecie kanalii, a umierają ci najlepsi.” Otóż właśnie ci najlepsi umierają młodo, bo mają skróconą karę, a ci gorsi żyją dłużej. Takie założenie wyjaśniałoby zarówno cierpienia jak i nadzieje, a nawet pośmiertne spotkania z emanującym dobrocią Źródłem Światła, o czym nieodmiennie wspominają reanimowani. A jednak ta teoria przy logicznym rozbiorze odsłania wewnętrzną sprzeczność. Wnioski wyciągnięte z Pisma Świętego godzą w aksjomaty wiary. Jest to typowa antynomia.

Dość dziwna i osobliwa wydaje się różnorodność wypowiedzi i reakcji reanimowanych na ogląd własnego ciała. Dla jednych było ono czymś obojętnym, inni go żalowali, a jeszcze inni byli szczęśliwi, że się z niego wyzwolili, tak jakby wyszli z więzienia.

Neurologia zna podobne zjawisko, obserwowane przy zachowaniu pełnej świadomości. Jest to tak zwana „autoskopiczna halucynacja”. W tych wizjach podmiot ogląda swe odbicie we własnym polu widzenia. „Ta zdumiewająca kopia oddaje wiernie wyraz twarzy i inne ruchy ciała oryginału, który jest zupełnie zaskoczony, kiedy nagle w pewnej odległości ujrzy swój obraz... Autoskopiczny fantom zawsze jest żywy, czasami nawet, zdaniem podmiotu, bardziej żywy i świadomy, niż on sam – podczas gdy dla tych, którzy oderwali się od ciała,

było ono czymś równie pozbawionym życia jak skorupa. Autoskopiczny podmiot może słyszeć swojego sobowtóra, jego rozkazy, napomnienia i tak dalej... W czasie przebywania umierającego poza ciałem jest ono w całości widoczne (chyba, że częściowo przykryte lub schowane), natomiast autoskopiczny sobowtór często widziany jest tylko od szyi czy pasa w górę” (dr Moody). Uważanie zjawiska oderwania się od ciała za halucynację autoskopiczną byłoby zastąpieniem jednej zagadki przez inną.

Wynikałoby, że pomiędzy ciałem i duszą istnieje wyraźny rozdział. Wygląda na to, że istotę stanowi świadomość, a nasze ciało jest tylko ożywioną trójwymiarową plamą. Ta trójwymiarowa plama zostaje na ziemi i z upływem lat rozkłada się, zamazuje, a energia wędruje do wyższego wymiaru. Być może to, co powstaje, czy też wyłania się z człowieka po śmierci, a co nazywamy duszą jest niczym innym, jak skoncentrowaną świadomością, „energią kulistą”, sumą zdobytej informacji. Kto wie, może główny udział ma w tym podświadomość, która, jak już mówiłem, gromadzi za życia milionkrotnie więcej informacji, niż świadomość? Może właśnie dlatego tej skoncentrowanej energii świadomości pośmiertnej wszystko wydaje się być takie proste, jasne i oczywiste, że rozporządzając bardzo rozległą wiedzą z łatwością kojarzy fakty? A może nawet jest i tak, że ciało w jakimś stopniu przeszkadza w abstrakcyjnym, czystym myśleniu? Oto, co powiedział mi pewien szachista, którego uważałem za swego rodzaju „geniusza”, gdy grał nie patrząc na szachownicę: – „Kiedy gram bez szachownicy, koncentruję wyobraźnię wyłącznie na sytuacji. Szachownica i figury przeszkadzają mi, bo jeżeli mam na przykład ruch koniem i patrzę na tego konia, chcąc nie chcąc porównuję go z innymi końmi, zastanawiam się dlaczego ma taką a nie inną grzywę, czy zamiast podstawki nie dałoby się dorobić kopyt i tak dalej. Krótko mówiąc, rozpraszam się i nakierowuję uwagę na zbędne, nieistotne szczegóły, chociaż nie zdaję sobie z tego w pełni sprawy. Gra z pamięci jest grą czystą, formułą matematyczną.”

Czyste rozumowanie nie powinno być zakłócanie czynnikami zewnętrznymi. Powszechnie wiadomo, że czynniki zewnętrzne (hałas, rozmowa) przeszkadzają w koncentracji. Czy ciało nie jest czasem dla świadomości takim czynnikiem zewnętrznym, zakłócającym? Według niektórych niezwykle interesujących relacji i zgodnie z przeprowadzonymi doświadczeniami wydaje się, że nawet poważne uszkodzenie fizycznego ciała nie wpływa na „to duchowe”. Odkrycia dokonał Polak, Witold Jodko–Narkiewicz, lecz tak to już bywa z wynalazcami i odkrywcami, że tą samą sprawą zajął się potem kto inny i jemu przypisuje się całą sławę. Czegokolwiek nie powiedzielibyśmy o zmarłych jedno jest pewne, że zmarli nie potrafią się bronić przed żywymi. Tak więc odkrycie Jodko–Narkiewicza zostało nazwane „fotografią kirlianowską”.

Doświadczenie odbywa się w następujący sposób: obiekt kładzie na kliszy, na przykład rękę z amputowaną dłonią. Rękę naświetla się odpowiednimi promieniami (nawiasem mówiąc, te same promienie są stosowane do masażu elektrycznego po goleniu), a kiedy się potem wywoła kliszę widoczna jest na niej cała ręka łącznie z dłonią, której de facto nie ma. Więc, albo ciało fizyczne wydziela emanację, którą można sfotografować, albo? No, właśnie. Żeby móc to zrozumieć, trzeba by znać dokładną odpowiedź na pytanie, czym właściwie jest życie, czy jest ono wypadkową ślepych sił przyrody, czy ponadczasową formą egzystencji? Bowiem życie jest nie mniej zagadkowe, niż śmierć. Czy jest ono wynikiem ewolucji, czy konstrukcji? Patrząc na umarłego mimo doznawanego bólu i żalu nie możemy się oprzeć wrażeniu, że popsuł się jakiś mechanizm. To nie jest zepsuta ewolucja, to jest zepsuta konstrukcja. Kto był jej konstruktorem? W co przekształciła się energia, której ubyło, a która nie mogła przestać istnieć? „Nic w naturze nie ginie”, powiada się. Skoro nic nie ginie, wszystko musi trwać wiecznie. Co to takiego, ta „wieczność”?

Wieczność jest pojęciem, które określa i zamyka w sobie czas nie zaczęty i nieskończony. Tylko, że coś, co się nie zaczęło nie istnieje, a więc wieczność jest iluzją. Wszystko, co istnieje musi mieć swój początek i koniec w czasie i przestrzeni. Nie ma zastosowania pojęcia

przestrzeni bez czasu, ani czasu bez przestrzeni wypełnionej materią. Światy umierają podobnie jak ludzie, a wraz z nimi umiera ich czas, podobnie, jak wraz z nimi się rodzi. Czym więc jest wieczność, jeżeli nie pustym dźwiękiem, formą ucieczki od niemożności zrozumienia zjawiska, na którym zbudowany jest nasz byt, jako przejściowa forma sztucznej konstrukcji? Być może koniec danego świata biologicznego następuje wtedy, kiedy wyczerpuje się możliwa ilość kombinacji genetycznej DNA?

Prawda stale się nam wymyka, lecz cóż to takiego ta prawda?

Jaka jest różnica pomiędzy rzeczywistością i jej pozorami, pomiędzy teorią, wyobraźnią i prawdą? Czy w ogóle istnieje jakaś prawda obiektywna, skoro każdy obiekt zmienia się zależnie od kąta widzenia. Prawda powinna być wartością trwałą, fundamentem, podwaliną, opoką, czymś niewzruszonym, a tymczasem tak łatwo ją obrócić w kłamstwo, przekształcić, przeinaczyć, zdeformować... Jeżeli prawdę rozpatrywać szczegółowo, jej natura jest równie nieuchwytna jak pojęcie czasu, przestrzeni i wielowymiarowości świata. Istnieje ona jako pewien szablon, forma, w którą można wlewać różne treści. Przecież kilku naocznych świadków opisujących to samo zjawisko będzie je opisywać w różny sposób, często sprzeczny, choćby każdy z nich mówił prawdę i starał się być obiektywny. W sprawach spornych powołuje się rzeczoznawców, ekspertów i sędziów. Czyżby wyrokowanie o tym, czy coś jest prawdziwe miało zależeć od zrutyinizowanych fachowców, a natura Prawdy miała zależeć od ich opinii? Nonsens! Albo Prawda istnieje jako taka i nasze opinie o niej są bez znaczenia, albo jej w ogóle nie ma. Takie ujęcie byłoby nawet w pewnej mierze optymistyczne, bo nieistnienie Prawdy równałoby się nieistnieniu kłamstwa. Skoro nie ma twierdzenia nie może być i przeczenia, są jedynie odrębne opinie subiektywne i ważne tylko dla tego, kto je wyraża. Formułka o mówieniu „prawdy, samej prawdy i tylko prawdy” jest częścią gadaniną, tautologią.

Wracając do relacji doktora Moody, to można z niej wyciągnąć jedynie wnioski natury moralnej, a zagadka nadal pozostaje zagadką. Gdy jednak wspomnieć Jodko–Narkiewicza nasuwa się pewien pomysł, który być może pozwoliłby ją rozwiązać.

Od niepamiętnych czasów głowią się nad nią filozofowie, metafizycy i spirytyści, a i obecnie eksperymentują psychotronicy dysponujący nowoczesnym sprzętem. Tyle, że sprzęt jest do niczego niepotrzebny, a pomysł jest bardzo prosty. Przecież reanimowani opowiadali o tym, jak w trakcie umierania ich ciało opuszczała jakaś forma świadomości, zwana potocznie duszą. Opisywali ją całkiem dokładnie: „Najpierw wyszedł szerszy koniec, wracał węższy”. Mówili, że droga prowadzi przez głowę. Czegóż więcej trzeba?

Skojarzmy to z fotografią Jodko–Narkiewicza i na chwilę przed zgonem, oczywiście za zgodą umierającego, umieścimy wokół jego głowy klisze, które będziemy naświetlać w chwili śmierci. Jeżeli na takich kliszach ukazuje się obraz amputowanych kończyn, których w rzeczywistości od dawna nie ma, to tym bardziej powinno się na nich znaleźć odbicie energii opuszczającej ciało. W ten sposób w pierwszej fazie stwierdzilibyśmy, czy energia taka rzeczywiście istnieje, czy opuszcza ciało i jaki ma kształt. Na kliszy istniałby realny dowód. Druga faza eksperymentu nastęrczałaby znacznie więcej trudności. Należałoby zbadać konsystencję tego niepojętego i nieuchwytnego, reakcje bioelektryczne itp., a w konsekwencji spróbować nawiązać z tym czymś kontakt. Trzeba by zaangażować wszelkie dostępne środki, jakimi dysponuje nauka i technika. Przede wszystkim należałoby stworzyć nieprzenikliwy materiał, być może pole elektromagnetyczne, żeby to „coś” jak najdłużej zatrzymać i zbadać jego naturę. Mógłby ktoś zadać pytanie, czy chcielibyśmy na chwilę uwieźć duszę i czy ta chwila nie byłaby dla niej wiecznością, czy nie przeszkodziłaby jej w dalszej wędrówce? Tak postawione pytanie nie byłoby pozbawione racji. Być może przekraczając granice etyczne naruszylibyśmy jakieś nieznanne nam bliżej zakazy i istniejącą w sposób naturalny równowagę.

Nie próbujmy więc uwięzić „duszy” i wykorzystajmy inny realny pomysł, który nikomu nie wyrządziłby krzywdy, a równocześnie pozwoliłby stwierdzić, czy jest coś takiego jak ciało astralne, względnie emanacja świadomości.

Istnieje pogląd, że obecności ciała astralnego dowodzą sny o lataniu. W czasie takiego snu wyzwała się, jakoby, ciało astralne i swobodnie szybuje. Chyba coś w tym jest, bo przecież wiadomo, że każdy chciałby latać i każdy chciałby być bogaty. Mimo to każdemu śniło się kiedyś, że latał, natomiast nie wszyscy śnili, że byli Krezusami. Czy sny o lataniu, a także o spadaniu i uczucie nieważkości dadzą się naukowo wytłumaczyć? Istnieją na ten temat rozmaite poglądy, jedni tłumaczą je przypadkowym usytuowaniem błędnika, co powoduje uczucie nieważkości, inni atawizmem z zamierzchłych czasów, gdy jeszcze skakaliśmy z drzewa na drzewo. W ogóle sen, to zjawisko zagadkowe, wątpię jednak czy ma coś wspólnego z ciałem astralnym. Mówiąc o emanacji świadomości miałem na myśli eksperyment rzeczowy, nie do obalenia. Rzecz jasna, w razie gdyby się powiódł.

Wyobraźmy sobie, że w dwóch różnych miastach, a jeszcze lepiej na dwóch różnych kontynentach, dwaj nieznani sobie hypnotyzerzy usypiają dwa różne media, całkowicie sobie obce. Eksperyment jest nadzorowany i sterowany przez wydzieloną grupę naukowców. Kiedy media są już w głębokim transie wy daj e się i m polecenie, żeby w określonej chwili ich emanacje spotkały się w określonym miejscu i przeprowadziły ze sobą rozmowę na dowolny temat, bądź też dokonały jakiegoś eksperymentu. Po przebudzeniu mediów wysłuchujemy ich relacji ze spotkania i konfrontujemy je. Gdyby taka konfrontacja wypadła pozytywnie byłoby to niezbitym dowodem, że te dwie emanacje istotnie się ze sobą spotkały. Tego rodzaju doświadczenia można by przecież mnożyć i wytyczać coraz to inne zadania.

Mógłby ktoś powiedzieć, że to metafizyka. No, cóż, nasze metafizyczne myślenie jest nam potrzebne już choćby tylko jako forma pociechy, bo życie to nieustanna walka. Nie widząc w tej walce głębszego sensu stwarzamy sobie sens pozorny, co ma nam zrekompensować pustkę i zbędność życia. Dlatego właśnie wmawiamy sobie, że wartość życia polega na myśleniu i czynieniu dobra. Można też przyjąć odmienny pogląd. Przeważnie jednak myślenie skłania nas do stawiania pytania czy mamy przed sobą jakiś określony cel? I jaki to jest cel, bo przecież nie można żyć bez celu.

Na tak postawione pytanie odpowiedział nam Kurt Vonnegut w „Syrenach z Tytana”:

„Dawno, dawno temu, na Tralfamadorii żyły stworzenia, które niczym nie przypominały maszyn. Były zawodne. Były mało wydajne. Były niekonsekwentne. Były nietrwale. Nieszczęsne te stworzenia żyły w obsesyjnym przekonaniu, że wszystko, co istnieje, musi mieć jakiś cel i niektóre cele są wyższe od innych. Stworzenia większość swego czasu spędzały na próbach ustalenia, w jakim celu istnieją one same? A ilekroć ustaliły rzekomy cel własnego istnienia, cel ten wydawał im się tak niski, że stworzenia ogarniał niesmak i wstyd. Aby więc nie musiały służyć niskiemu celowi, postanowiły wybudować maszynę, która mu posłuży. W ten sposób pozostawiły sobie służbę jedynie celom wyższym. Ilekroć jednak znalazł się jakiś wyższy cel, cel ten okazywał się nie dość wysoki. Skonstruowano więc i maszyny do służenia celom wyższym. Maszyny zaś robiły wszystko tak doskonale, że w końcu zatrudniono je do ustalenia, jakie mogą być wyższe cele istnienia stworzeń. Maszyny z ręką na sercu odpowiedziały, że stworzenia owe nie mają w gruncie rzeczy żadnego celu. Wówczas stworzenia zaczęły mordować się nawzajem, gdyż ponad wszystko nienawidziły rzeczy bezcelowych. Odkryły przy tym, że nawet mordować się nie umieją porządnie. A więc i to zajęcie powierzyły maszynom. Maszyny zaś ukończyły robotę w czasie krótszym, niż trzeba, aby wymówić słowo „Tralfamadoria”.

Zarzynanie nauki „brzytwą Ockhama”

Wszechstronne badania i wielokrotne opisy zdarzenia w Podkamiennej Tunguskiej nie do końca rozwikłały zagadkę. Wiadomo, że coś się zdarzyło i coś spadło na ziemię, lecz nie wiadomo, co to było i skąd pochodziło? Do dnia dzisiejszego mnożą się różne teorie. Zwycięża hipoteza, jakoby był to meteoryt (jakiś potężny bolid), lecz nie do pogardzenia jest także teoria statku kosmicznego z napędem atomowym. Uczni zastanawiają się, który z najbliższych układów gwiazdnych może mieć planetę z ekosferą podobną do ziemskiej. Nie mogąc sobie z tym poradzić, podobnie jak z UFO, podeszli w sposób bardziej ogólny, statystyczny, rozmyślając całe zagadnienie. Ponieważ układ słoneczny i nasza ziemia nie są czymś wyjątkowym, a raczej uśrednioną normą, postawiono pytanie, jaki procent gwiazd (słońce) naszej galaktyki może posiadać planety i ile planet może mieć ekosferę? Potem ustalono hipotetyczny czas trwania wysoko rozwiniętej cywilizacji, zanim ulegnie zwyrodnieniu, kataklizmowi bądź samozniszczeniu. Na każdy z tematów są wyrażane odmienne poglądy i dlatego poszczególni uczeni doszli do skrajnie sprzecznych wniosków. Istnieje również teoria, że wszystkie wyższe cywilizacje dążą do samozagłady. Uwzględniając różnorakie aspekty jedni uczeni sądzą, że powinno być co najmniej sto milionów cywilizacji wyższych od naszej lub podobnych, a inni doszli do wniosku, że jest to bardzo mało prawdopodobne, żeby istniała choć jedna. Zresztą w nauce różne szkoły zwalczały się zawsze na każdy temat. Oczywiście nulla regula sine exceptione. Na przykład pewien realista-filozof, niejaki Ockham ukuł zręczne twierdzenie, że „nie należy mnożyć bytów ponad konieczność”. W innym ujęciu brzmi to „nie wolno mnożyć bytów bez potrzeby”. Co najdziwniejsze, ten pogląd zyskał powszechne uznanie i nazwano go „brzytwą Ockhama”, którą to „brzytwę” przyjęto za zasadę.

Sądzę, że w świetle ostatnich osiągnięć „brzytwa” uległa całkowitemu stępieniu. Ta teoria byłaby niezwykle trafna w odniesieniu do jakiegoś ubogiego szewca z zabitej deskami wsi, który mając dwanaścioro dzieci chciałby sobie zafundować trzynaste, ale w odniesieniu do kosmosu? Czy kosmos musi się kierować koniecznością na ludzką miarę i w ludzkim rozumieniu? Nauka i wiedza rozwijają się i wzbogacają dzięki ciekawości ludzkiej i umiejętnemu stawianiu pytań. Na źle postawione pytanie nie można uzyskać żadnej odpowiedzi, lub co najwyżej fałszywą, albo wręcz głupią. Ale w jakim celu ograniczać ilość pytań sensownych? Z tego rodzaju ograniczeń wyniknąć może jedynie niewiedza. **Kluczem do wiedzy jest heurystyka.**

Nie mnożyć bytów bez potrzeby? Wiadomo już dzisiaj, że wiele bolidów i meteorów zawiera śladowo aminokwasy. Zaczynamy się przychylić do teorii, w myśl której zarodniki życia we wszechświecie szukają odpowiedniego miejsca i czasu. W takim ujęciu nie istnieją byty bez potrzeby, lecz wręcz przeciwnie: potrzeba bytu. A więc życie jest dla natury koniecznością podobnie jak śmierć, a procesy przebiegają kołowo. Nie wolno traktować wszechświata jak ubogiego szewca. Na domiar, gdyby się okazało, że przestrzeń i czas są nieograniczone, to raczej winno się zaryzykować twierdzenie, że w każdej chwili istnieje nieograniczona ilość światów i cywilizacji podobnych do naszej.

Ludzkość wielkimi krokami zbliża się do ery lotów kosmicznych. Istnieją co prawda olbrzymie, według niektórych uczonych nie do pokonania trudności natury technicznej, ale przecież technika rozwija się w szalonym tempie, a upór ludzki jest nieskończony. No, właśnie, nieskończoność! Oto największy problem.

Nie upatruję niepokonanych przeszkód w trudnościach technicznych lecz w tym, że wszelkie teorie, nawet te najdoskonalsze, zawierają wiele wewnętrznych sprzeczności i można z nich wyciągać najrozmaitsze, niemal dowolne wnioski. Stopniowo do tego przejdę, choć będę się musiał powtarzać, bo żeby tę samą sprawę rozpatrywać z rozmaitych punktów widzenia trzeba ją podejmować wciąż na nowo. Jeżeli przyjmiemy, że dwa razy dwa równa się cztery, rozważania o teorii Einsteina mogą nas doprowadzić nieuchronnie, do zupełnie odmiennych wniosków: nic nie równa się niczemu, albo wszystko równa się wszystkiemu. Wynika to z dwóch podstawowych, na naszym etapie nauki niepodważalnych twierdzeń:

1. Prędkość światła jest niezmienna względem wszelkich obiektów i wynosi w próżni 299,793 km/sek. (a więc dla ułatwienia trzysta tysięcy kilometrów na sekundę).

2. Ilość masy wzrasta wraz ze wzrostem prędkości i przy osiągnięciu prędkości światła masa wzrasta do nieskończoności.

Wszelkie rozważania oparte o te dwa założenia prowadzą do najróżnorodniejszych wniosków. Zanim do nich przejdę, należy się zapoznać z tablicą dylatacji czasu.

Tablica dylatacji czasu. Przykład względnego przesunięcia czasu.

Czas trwania podróży w latach ziemskich		Oddalenie od gwiazd w latach świetlnych
na statku kosmicznym	na ziemi	
2	2,1	0,25
5	6,5	1,7
10	24	10
15	80	37
20	270	137
25	910	455
30	3100	1566
40	36000	17500
50	420000	208000

Przystępując do krytycznych rozważań, chciałbym, że tak powiem, zacząć rzecz od końca.

Z teoretycznych wyliczeń specjalistów wynika, że hipotetyczna rakietka fotonowa nawet przy zastosowaniu anihilacji jako źródła napędu z prędkością przyświatlną, wymagałaby podczas lotu międzygwiazdowego masy napędowej równającej się prawie masie ziemskiego księżyca. Rzecz jasna, przy lotach do bardziej oddalonych gwiazd masa musiałaby być odpowiednio większa. Czy więc, zakładając techniczną wszechmoc nie byłoby prostsze wysłanie w kosmiczną przestrzeń całych globów a nawet całych systemów słonecznych? Ale skoro tak, to nasz system słoneczny spełnia od miliardleci to zadanie w sposób zupełnie sprawny, zmierzając w kierunku Układu Herkulesa i okrążając jądro galaktyki w czasie około dwustu milionów lat. Co więc stoi na przeszkodzie przyjęciu hipotezy, że ziemia jest tą najoszczędniejszą rakieta i to niezbyt ograniczoną w czasie, bo od niepamiętnych lat lecimy na niej przez kosmos? Może jakaś niewspółmiernie wyższa inteligencja, z któregoś tam wymiaru wprawiała w ruch te trójwymiarowe światy zonglując nimi jak piłkami? Może przypominamy osobnika gorączkowo poszukującego okularów, które przez cały czas ma na nosie? Może jesteśmy tylko jedną z niezliczonych latających stacji doświadczalnych? Co my, jako istoty trójwymiarowe, możemy o tym wiedzieć?

Pojmujemy nasz byt jako wypadkową ślepych sił przyrody, a rozwój gatunków jako odwieczną ewolucję stosowaną przez naturę przy użyciu bezkompromisowej metody prób i błędów.

dów, metody o tyle skutecznej o ile krwawej, bo pochłaniającej po drodze hekatombę ofiar i stopniowo wyniszczającej miliony gatunków. Te ślepe siły przyrody skonstruowały jakoby żywą komórkę białkową z wbudowanym w nią kodem genetycznym. Teoria taka, niezmiernie ponętna i przyjęta jako jedynie słuszna przyczyna powstania, uznaje za punkt wyjścia przypadek uzasadniony długością trwania procesów syntetyzujących i eliminujących. Niepojęte jest jednak, dlaczego ta powstała przed milionami lat komórka zawiera tak olbrzymią nadmiarowość, że mimo ustawicznie zmieniających się warunków wciąż świetnie się sprawia i nadal pozostaje w dużym stopniu nadmiarowa, a więc służyć nam może przez następne miliony lat. Tego rodzaju przypadek wydaje się być wręcz nieprawdopodobny. Zaprogramowanie w mikroskopijnej części cech gatunkowych i osobniczych (np. kolor oczu, włosów, indywidualna wrażliwość na bodźce, muzykalność, piegi itd.), zdolności przystosowawczych i ewolucyjnych, a także zachowania odrębności i przekształcania się gatunków bez możliwości ich krzyżowania się mimo zastosowania tego samego (identycznego) budulca skłania do podejrzeń, że sprawa może się mieć inaczej, że komórka jest dziełem starannie i genialnie zaprogramowanym nie zaś dziełem przypadku. Składamy się przecież z identycznych komórek, co zwierzęta i rośliny, a jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby słonica urodziła zółwia, albo żeby człowiekowi wyrosły liście zamiast palców. Dlaczego? Czyżby i ten zakaz był także dziełem przypadku? Jeżeli tak, to przypadek przejawiał niezwykle rozum (ba, roztropność, a więc cnotę!) i intuicyjną przewidywalność. Czy można jednak przypisywać ślepeму przypadkowi dalekowzroczność, intuicję i cnotę? A może raczej zostaliśmy świadomie posiani w letnich wodach stygnących oceanów i kształtujemy się zgodnie z założonym programem. A więc, może zostaliśmy stworzeni, czy też raczej skonstruowani, choć niekoniecznie z gliny. Działanie nasze, to dziedziczne, genetyczne i uwarunkowane doświadczeniem rozumu też zostało z góry przewidziane jako wolna wola i choć wolna w stopniu ograniczonym, to jednak nie na tyle, aby uniemożliwić nam samounicestwienie. Na tym całe doświadczenie zakończyłoby się: kolonia roślinnych i zwierzęcych, a więc także i ludzkich organizmów uległaby samolikwidacji, a konstruktor–obserwator mógłby rozpocząć na jakiejś innej planecie nowy cykl życia w ulepszonym wydaniu. W tym ujęciu prezentujemy się jedynie jako niezbyt udane prototypy, jako posiew pod lepszą przyszłość, pod generację drugiego stopnia, tyle że dotyczyłoby to już nieco innego gatunku. Nie jesteśmy przecież niczym innym, niż bardzo sprawnie zaplanowanymi homeostatami i zawsze można sobie wyobrazić konstrukcję znacznie lepszą zarówno pod względem fizycznym, jak psychicznym i charakterologicznym.

A teraz inny wariant podróży kosmicznej, tym razem nie na globie ziemskim, lecz w rakiecie skonstruowanej przez człowieka. Jeżeli to prawda, że przy osiągnięciu prędkości światła masa wzrasta do nieskończoności, to trudności związane z napędem rakiety zostają samoczynnie rozwiązane i pokonane, co jednoznacznie wynika z teorii, w myśl której ułamek nieskończoności sam stanowi nieskończoność. Tak więc w trakcie lotu można by najmniejszym ułamkiem czegokolwiek napędzać całą rakietę. W tym miejscu mógłby ktoś powiedzieć, że wzrasta również ilość potrzebnej do napędu energii. Zgoda, ale mając dwie nieskończone – masę i energię – i wiedząc o tym, że ułamek nieskończoności sam stanowi nieskończoność, moglibyśmy dowolnym ułamkiem masy, na przykład temperując ołówek, napędzać całą rakietę, gdyż uzyskiwalibyśmy nieskończoną ilość energii. Po cóż więc mówić o kłopotach z materiałem pędnym, jeżeli ziarnko maku mogłoby stanowić napęd dla całego wszechświata? Jeśli się jednak z takim rozumowaniem nie zgadzamy, cała teoria nieskończoności masy przy osiągnięciu prędkości światła bierze w łeb. Świat wbrew niektórym poglądom nie może być nieskończenie wielki także i dlatego, że każdy jego element (ułamek) byłby nieskończenie wielki, a więc i nasza ziemia, której wymiary znamy i my sami, a także wszystko inne. Jeszcze do tego wróć, ale z innej strony. Wprawdzie uczone sformułowania są nieco odmienne i powiada się, że świat jest skończony lecz nieograniczony, ale to jedynie pusta gra słów. W jakim celu stwarza się nieadekwatne teorie? Czyżby te karkołomne założenia posuwały na-

przód ludzką wiedzę, czy też raczej pchają tę wiedzę w ślepy zaułek? Stworzone ku chwilo-
wej wygodzie blokują rzetelną myśl. Nauka goni w piętke.

Jak powiedział jeszcze w osiemnastym wieku Georg Lichtenberg, „to, co ktoś uważa za
ustalone, najbardziej zasługuje na zbadanie”. I słusznie! Istnieją już matematyczne wyliczenia
Geralda Feinberga dowodzące, że hipotetyczne lecz już nazwane cząstki elementarne „tachio-
ny”, „tardiony” i „luxiony” mają prędkości ponadświatłne. Co więcej, najniższym wyjścio-
wym progiem ich prędkości jest właśnie prędkość światła i mogą osiągać trylionowe przy-
spieszenia. Co wtedy zrobić ze wzrostem masy i dylatacją czasu? Czyżby czas cofał się grani-
com nieistnienia?

Ponieważ uczeni muszą udokumentować każdy swój pogląd, choćby najdziwniejszy, ist-
nieje bardzo sugestywne i proste wyjaśnienie skończoności wszechświata za pomocą para-
doksu fotometrycznego Olbersa. Wyobraźmy sobie dwie linie rozchodzące się pod kątem i
ciągnące w nieskończoność. Czym dalej od wierzchołka, a więc czym większe rozwarcie, tym
większą ogarnia przestrzeń. Na tej zasadzie działa przecież zarówno nasz wzrok, jak i obiek-
tyw fotograficzny. Jest to tak, jakbyśmy widzieli literę V. Otóż jeżeli u wierzchołka V zmieści
się tylko jedna kropka symbolizująca gwiazdę, to w miarę rozszerzania się pola widzenia bę-
dzie się mieścić kilka gwiazd, kilkanaście, kilkaset, kilka tysięcy itd. Gdyby świat był nie-
skończony, w polu widzenia mieściłaby się nieskończona ilość gwiazd, a wtedy nocne niebo
byłoby jednolicie jasne. Fakt, że w nocy niebo jest ciemne dowodzi, że wszechświat jest
skończony.

No, cóż, pięknie, ale ten „dowód” jest dla mnie równie mało przekonujący jak „brzytwa
Ockhama”, bo jeżeli to prawda, że przestrzeń jest zakrzywiona, przykład traci swój sens, a w
każdym razie swoją sugestywną wymowę.

Analogie

To zdumiewające Jak zbieżne wnioski wypływają z naukowych odkryć i metafizycznych rozważań, a więc dwóch całkowicie przeciwstawnych dyscyplin. Oto fragment z książki E. Chodkiewicza pt. „Ewolucja ludzkości. Zarys antropogenezy okultystycznej”. Fragment dotyczy podziału czasu u braminów:

„Krita Yuga obejmuje 1.728.000 lat; Treta Yuga 1.296.000 lat; Dwatara Yuga 864.000 lat; Kali Yuga 432.000 lat” Suma tych okresów daje 4.320.000 lat i zwie się Maha Yuga (Wielki Wiek). 71 Maha Yuga dają czas jednego Manu, a więc w sumie 306.720.000 lat. (Jest to kalendarz ezoteryczny Indii.) W szkołach tajemnych Indii czas rządów jednego Manu określają na 308.448.000 lat. Sumą rządów dwóch Manu, jaka przypada na obecny (czwarty) cykl ewolucyjny naszej ziemi wyniesie 613.720.000 lat i będzie to okres, jaki przeżyje nasza ziemia w swym obecnym wcieleniu jako kula D. Poprzednie wcielenia były A, B, C. Obecna kula D jest najgłębszym zejściem w materię fizyczną.”

Warto tu dodać, że zbliżone choć nieco odmienne poglądy (utrwalone w kamiennym kalendarzu słonecznym) reprezentowali mieszkańcy Mezoameryki. Według azteckiej legendy istniały poprzednio cztery słońca, to znaczy cztery poprzednio stworzone światy, które uległy zniszczeniu. Żyjemy więc w czasach piątego słońca, czyli w piątym świecie lub, jak kto woli, w piątym cyklu.

Wydawać by się mogło, że są to metafizyczne bzdury, ale policzmy: kule A, B, C, D, a więc cztery okresy po 613.720.000 lat, określają w sumie wiek naszej ziemi na dwa miliardy czterysta pięćdziesiąt cztery miliony osiemset osiemdziesiąt tysięcy lat, a więc w przybliżeniu dwa i pół miliarda lat.

A, co o tym mówi współczesna wiedza? Oto fragment popularnonaukowej rozprawki: „Znane nam ostatki organicznych substancji, należące ongi do żywych istot, liczą sobie dwa miliardy siedemset milionów lat. pierwsze kręgowce powstały z górą 350 milionów lat temu. 200 milionów lat temu potomkowie ryb wyszli na ląd. Ssaki liczą około 50 milionów lat, człowiek około miliona”.

No i proszę: dwie epoki, dwie filozofie, dwie cywilizacje, dwie metody – a jakże zbliżone wnioski! Toż nawet wśród poglądów współczesnych naukowców istnieją większe rozbieżności.

Otóż wbrew poglądom innych naukowców, którzy powstawanie życia uważają za odwieczny i nieustanny proces, dla utrudnienia chcę się oprzeć na autorytetach Monoda i Cricka, bądź co bądź laureatów Nobla i uznaję, że proces powstawania życia jest niepowtarzalny. (Monod – laureat Nobla z dziedziny biologii; Crick – laureat Nobla, który wraz z Watsonem odwzorował budowę kwasu dezoksyrybonukleinowego.) I właśnie w związku z tym wyłania się pewne zasadnicze pytanie: Dlaczego ten „niepowtarzalny” proces miałby się zdarzyć na takiej nic nie znaczącej łupince jak ziemia? Przecież w naszej galaktyce istnieje ponad sto miliardów gwiazd, galaktyk jak nasza są setki miliardów, a wiele gwiazd posiada planety. Więc niby dlaczego akurat ziemia? Skąd się bierze ta megalomania?

Mamy takie zmysły i taki mózg, jakie nam dano i za ich pomocą budujemy niezwykle ograniczone wyobrażenia. Czy umielibyśmy sobie wyobrazić, na przykład, wszechstronnie wklęsłą kulę? Już sceptycy uważali, że wszystko jest tylko złudzeniem. Kto wie, czy nie mieli racji? Człowiek rości sobie prawo do wszechwiedzy i wszechwładzy, a razem ze swoją ziemią jest tylko pyłkiem na Drodze Mlecznej, która też jest tylko pyłkiem, choć w polu widzenia teleskopu rozpada się na pojedyncze słońca–światy.

Wiemy, że liczba gwiazd w układzie Drogi Mlecznej wynosi w przybliżeniu 400 miliardów takich światów. Według innych ocen jest ich „raptem” 100 miliardów, ale i to nie jest mało. Co najmniej połowa z nich ma układy planetarne. Czym więc jesteśmy, jakie miejsce zajmujemy we wszechświecie? Człowiek w swojej nieokiełznanej dumie stwarza sobie różne teorie pocieszenia.

Pascal pisał: „Przestrzeń wszechświat ogarnia mnie... Myślą ją go ogarniam...” Nie chcę ujmować wielkości Pascalowi, ale do ogarnięcia myślą wszechświatów jest nam nieskończenie daleko i nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek się to stanie, bo i współczesne dowody na wielkość człowieka są równie mało przekonujące. Dorobiliśmy sobie piękną teorię, że pomiędzy niewyobrażalną wielkością i niewyobrażalną małością stanowimy złoty środek. Piękna teoria, tylko skąd wiadomo, że „złotego środka” nie stanowi na przykład atom, albo komar, albo galaktyka? Mają z nami identyczne szanse, bo istnieje i taka teoria, zgodnie z którą nasz świat jest kulą, której środek jest wszędzie, a powierzchnia nigdzie. W oparciu o tę teorię środkiem mógłby być każdy dowolny układ, gdyż równie daleko mu do nieskończoności, jak i do nicości. Tylko, że z nieskończoną wielkością łatwiej się człowiek godzi, niż z nieskończoną małością. Taka jest cecha naszej wyobraźni. Łatwiej wyobrażamy sobie coś przeraźliwie, aż do zawrotu głowy wielkiego, niż przeraźliwie małego. Wydaje się nam, że odstęp pomiędzy bakterią i nicością jest niewielki, a przecież dzieli je niewyobrażalna skala. Ale my tę przepastną skalę lekceważymy. Wobec wielkości czujemy się znikomymi i zdejmujemy nas strach – do małego odnosimy się protekcyjnie i lekceważąco, choć jest równie przerażające i niepojęte. A przecież można by sobie wyobrazić wszystko jeszcze inaczej. Na przykład ziemię, jako samoistną żywą istotę z jej pryszczami – wulkanami, z fauną i florą jako bakteriami i rzekami, jako unerwieniem, bądź użyleniem. Natomiast układ słoneczny można by pojmować jako atom, tyle że w powiększonej skali. Otóż przy takim wyobrażeniu Droga Mleczna złożona z atomów – słońce stanowiłaby, powiedzmy, jedną komórkę wszechświata, a cały widzialny i wyobrażalny przez nas wszechświat mógłby być na przykład koniuszkiem jakiegoś włosa, czy też wyprysku na nieograniczonej całości kosmosu. Można to wyobrazić sobie odwrotnie, że dla wirusa cały wyobrażalny świat stanowi jedna komórka, bo na pewno nie zdaje sobie sprawy czym jest człowiek wraz ze swoim umysłem. Przecież bakterie i antyciała żyją, rozmnażają się i toczą ze sobą wojny podobnie jak ludzie, a więc mają swoje problemy. To nie tylko my, ludzie, myślimy i walczymy o życie. A gdyby tak per analogiam potraktować człowieka jak bakterię, a galaktykę jak komórkę, to w jaki sposób człowiek byłby zdolny zrozumieć myślący wszechświat?

Jeżeli proces powstawania życia jest niepowtarzalny, to raczej należałoby przypuszczać, że życie zostało zawleczone bądź posiane na ziemi przez prastare cywilizacje z innych planet innych układów gwiazdnych, znajdujących się w centrum galaktyki. Tylko, że my z peryferiów wszechświata mamy odwieczne kompleksy i zadęcia na własną niepowtarzalność. Człowiek na swojej małej skorupce–ziemi uroił sobie, że jest jedynym, niepowtarzalnym panem wszechświata, choć wszystkie istniejące religie, w które wierzy, głoszą zgodnie, że został powołany do życia przez Wyższą Istotę. To się wszystko logicznie nie klei. I w ogóle z tą logiką u rodzaju ludzki ego jest dość kiepsko. Zaczynamy manewrować, a raczej majsterkować przy kodzie genetycznym i marzeniem biologów jest wyhodowanie krowy wielkości słonia. Z góry się cieszą, ile to będzie dawała mleka i ile z niej będzie mięsa! Niechętnie myślą o tym, ile taka krowa zeżre paszy i skąd ją wziąć? Przecież praktycznie, to prawie wszyst-

ko jedno, czy wyhodujemy pięć krów normalnych, czy jedną pięciokrotnie większą. Nie tędy droga. I tak zbyt mało jest ziem uprawnych i zamierzamy zagospodarować oceany tylko, że zanim do tego dojdzie wody ich będą już doszczętnie zatrute. Wycięliśmy już większą część lasów, zrobiliśmy dziurę ozonową w atmosferze, na domiar zatruliśmy niezbędną nam do życia wodę, której na planecie zaczyna brakować, a jeszcze przedtem wyniszczyliśmy i nadal wyniszczamy wiele gatunków zwierząt i roślin. Ten wspaniały, inteligentny gatunek ludzki jest największym szkodnikiem, rodzajem zjadliwej pleśni i poważnie zagraża życiu całej planety. Brak nam tylko słoniowatych krów i termojądrowych pastuchów. Dlaczego nikt nie pomyślał o tym, czy nie należałoby zacząć od miniaturyzacji człowieka, choćby tylko dziesięciokrotnej? ⁴ Ilu takich osiemnastocentymetrowych ludzi mogłoby się wyżywić jednym bochnem chleba? Przecież ważny jest mózg, bo pracę mogą wykonywać maszyny, a wielkie rozmiary ciała są do niczego nieprzydatne. Czy nie byłoby to wyjście lepsze od gigantomanii? Wiemy, że zwierzęta-giganty dawno już wyginęły i że planeta należy do form niewielkich, do owadów. Istnieje ponad tysiąc gatunków samych termitów i tysiące odmian mrówek, nie wspominając o innych owadach. Niektóre z tropikalnych mrówek ziemnych budują (ryją) mrowiska, w których mieszka po dwadzieścia milionów osobników. W trzystu takich mrowiskach jest więcej mrówek, niż ludzi na całym globie, a wszystkie one z powodzeniem mogłyby się pomieścić na obszarze jednego kilometra kwadratowego. Ale nam ciągle w głowie gigantomania i planujemy zasiedlanie innych planet w sztucznie stworzonych środowiskach

–nieustannie niszcząc środowisko rodzime. A może by tak jednak zminiaturyzować, lub ograniczyć populację? A może by się tak reprodukować według potrzeb, nie według przypadku? Przecież społeczeństwa starsze od ludzkiego wybrały inne drogi: takie mrówki, czy termity produkują w miarę potrzeby własne królowe–matki, własne robotnice i własnych żołnierzy, a zapewne i chemików i architektów, bo planują kopce, mrowiska, hodowle grzybów i mszyc, a nawet mają własne „centralne ogrzewanie”. Pszczoły poszły nieco odmienną drogą, bo chociaż płodzą potomstwo zróżnicowane płciowo według własnej woli, oraz królowe na miarę potrzeb, to niepotrzebni im żołnierze. Pszczoła robotnica jest znakomitym wojownikiem i bacznie strzeże ula, a rodzaj męski (trutnie) produkowany jest jedynie dla zachowania gatunku.

Czyżby człowiek nie umiał sobie obrać własnej rozsądnej drogi, dalekiej od mordów, rzezi i wyniszczania planety, która go karmi? Człowiek wierzy jedynie we własną siłę i własną inteligencję, a wierzy tak dalece, że zaprzecza możliwości istnienia rozumnego życia poza planetą ziemią, choć licznie udokumentowane Niezidentyfikowane Obiekty Latające (NOL – UFO) i pływające, a także ich pasażerowie dowodzą niezbicie, że życie takie istnieje. (Do tej sprawy powrócę w innym miejscu.) Ale człowiek zapatrzony we własny pępek nie chce tego widzieć i uparczywie neguje fakty, chociaż sklasyfikowano już co najmniej dwa rodzaje gości. Co śmielsi „fantaści” zastanawiają się, czy są to istoty żywe, czy też roboty bądź bioroboty i mimo wieloletnich obserwacji nikomu jakoś nie przyszło do głowy, że może to być tandem dwóch różnych inteligencji pozaziemskich, które zgodnie przeprowadzają badania. Ta okrzyczana ludzka inteligencja i fantazja po dziesięcioleciach badań i setkach dowodów bardzo ostrożnie godzi się przyjąć istnienie jakiegoś jedyne go rozumnego, pozaziemskiego gatunku, ale dwa to już ponad siły najśmielszych.

Gdyby podobnie rozumowali ufonauci, to winni wysyłać do swoich społeczeństw meldunki, że na ziemi nie ma istot rozumnych. Kto wie, czy nie mieliby racji?

⁴ Należy pamiętać, że przy dziesięciokrotnie zmniejszonych wymiarach, człowiek potrzebowałby stukrotnie mniejszej powierzchni i tysiąckrotnie mniejszej kubatury, a więc tysiąckrotnie mniejszego mieszkania itp.

Herezje i paradoksy

Inne ujęcie tematu. Ilekroć myślę o prędkości światła i założeniach teorii, wynikają z tego paradoksy. Uczeni wiedzą niekończące się spory stawiając sobie pytanie, czy światło jest natury korpuskularnej czy falowej, a więc czy jest to fala, czy materia? A my postawmy sobie podstawowe, choć dla uczonych głów naiwne pytanie: z czego składa się fala, jeżeli nie z materii? Cóż innego mogłoby „falować”? Nicość? Ale, jeżeli fala składa się z materii, a więc z masy, w jaki sposób można by to pogodzić z teorią, w której jest powiedziane, że masa poruszająca się z prędkością światła osiągnęłaby wielkość nieskończoną? Gdyby światło składało się z masy (materii) musiałoby mieć nieskończoną wielkość, a co za tym idzie nieskończoną jasność i bez reszty wypełniałoby sobą nieskończony wszechświat. Jeżeli wszechświat jest skończony, w jaki sposób mogłoby się w nim mieścić coś nieskończonego? Przyjmijmy zatem, że jest nieskończony. Czy nieskończoność może się mieścić w nieskończoności? Jeśli może, to pierwsza nieskończoność byłaby ograniczona przez drugą, a przecież nie może mieć granic. A znów, jeżeli się nie mieści to znaczy, że druga nieskończoność nie jest nieskończona. Czy jest w tym wszystkim wewnętrzna sprzeczność, czy też nieskończone ilości nieskończoności mogą się mieścić jedna w drugiej?

Gdyby światło (w myśl teorii) było wielkością nieskończoną, niebo byłoby przeraźliwie jasne, a przecież niebo jest czarne, mimo że fotony (obojętne, fale czy cząsteczki) w strumieniach (promieniach) światła osiągają tę właśnie graniczną prędkość, w zaokrągleniu trzystu tysięcy kilometrów na sekundę. W jaki sposób się to wszystko godzi skoro wiemy, że foton (kwant) posiada masę, nie tylko moment pędu? Przecież każdy foton musiałby mieć wielkość nieskończoną, a skądinąd wiadomo, że tak nie jest. Chyba tylko pod warunkiem, że pojęcie wielkości jest równie względne jak pojęcie czasu. Wiemy, że nawet najmniejszy ułamek (cząstka) nieskończoności sam jest nieskończonością, lecz wiemy także i to, że sami stanowimy ułamek takiego nieskończonego świata. Czyżbyśmy byli nieskończenie wielcy?

Ale wróćmy do światła. Wobec wszystkiego, co zostało tu powiedziane, albo światło nie składa się z fotonów, z fal elektromagnetycznych, ani z materii, albo teoria jest błędna i światło nie osiąga przypisywanej mu prędkości, bądź też przy osiągnięciu tej prędkości (bo w teorii o przekroczeniu jej nie ma mowy) masa nie urasta do nieskończonych rozmiarów. Jeżeli nie dopuścimy tej pomyłki, to teoria pozostaje w sprzeczności zarówno z logiką, jak i z doświadczeniem. Nic dziwnego, że współcześnie istnieją już teoretyczne założenia, w myśl których prędkość światła nie jest prędkością graniczną, tylko progiem wyjściowym dla hipotetycznych tachionów, tardionów i luxionów. Inaczej mówiąc, w naturze istnieje ruch wielokrotnie (może nawet trylionkrotnie) szybszy. Pozostajmy jednak przy świetle.

Postawmy sobie pytanie, co się dzieje z dwiema równocześnie i równoległe wysłanymi wiązkami światła, których relatywna prędkość wynosi niezmiennie trzysta tysięcy km/sek. względem **każdego obiektu**, jakoby niezależnie od jego prędkości (a więc także względem sąsiedniej wiązki światła)? Czy wiązki te pozostają względem siebie nieruchome? To by przeczyło teorii, w myśl której światło biegnie z niezmienną prędkością względem **k a ż d e g o** obiektu, a inne rozumienie zgodne z ludzką logiką jest nie do pomyślenia. Z jaką prędko-

ścią zbliżają się do siebie dwie przeciwbieżne wiązki światła? Czy ich prędkość sumuje się? Jeżeli się sumuje, a więc równa się sześciuset tysiącom km/sek., to musi się sumować również względem każdego innego przeciwbieżnego obiektu, co obraża teorię. Nie byłoby więc obojętne z jaką prędkością i w jakim kierunku leci obiekt (naprzeciw, czy zgodnie z kierunkiem wiązki światła), gdyż w jednym przypadku prędkości należałoby do siebie dodać, a w drugim odjąć. Jeżeli natomiast prędkości przeciwbieżnych wiązek światła nie sumują się, to jak przyjąć niezmienną prędkość każdej z nich za trzysta tys. km/sek., skoro wyniesie ona jedynie 150 tys. km/sek.? Chyba punktem odniesienia dla wiązki światła musi być obiekt, który ją wysłał (źródło światła). Pojęcia bezwzględnej prędkości w ogóle nie sposób pojąć, bo na przykład promienie biegnące równoległe względem siebie, musiałyby mieć względem siebie prędkość równą zero; promienie przeciwbieżne i rozbieżne prędkość 600 tys. km/sek., a jeżeli chcielibyśmy przyjąć dla nich prędkość stałą 300 tys. km/sek.. to każdy z nich musiałby osiągać jedynie 150 tys. km/sek., co jest paradoksem. Jeżeli posłużyć się arytmetyką należy wyciągnąć wniosek, że $0 = 150000 = 300000 = 600000$. Czyżby zero, a więc nic, mogło mieć w zależności od kierunku tak różną wartość? I w jaki sposób „nic” może mieć kierunek?

A teraz implikacje wynikające z tabeli dylatacji czasu. Według tabeli pięćdziesiąt lat lotu w rakiecie lecącej z prędkością przy świetlną równa się czterystu dwudziestu tysiącom lat ziemskich, a więc jedna sekunda czasu raketowego równa się stu czterdziestu minutom czasu ziemskiego, albo ośmiu tysiącom czterystu sekundom ziemskim. Rachunek jest bardzo prosty, tylko że przez te osiem tysięcy czterysta sekund ziemskich światło, czy też rakietę lecącą z prędkością przyświatlną pokona dwa miliardy pięćset dwadzieścia milionów kilometrów (2.520.000.000) z czego wynika, że jedna sekunda świetlna równa się nie 300 tys. km/sek., lecz dwu miliardom pięciuset dwudziestu milionom kilometrów na sekundę. Oczywiście przy takiej prędkości światła tabela dylatacji czasu całkowicie traci sens, bo jedna sekunda świetlna równałaby się milionom lat ziemskich, co automatycznie pomnażałoby rachunek (prędkość światła) na zasadzie odbicia lustrzanego. Wypływa z tego wniosek, że światło może biec z nieskończoną prędkością. Tak więc z rozważań o czasie, przestrzeni i prędkości światła wynika, że światło biegnie z nieskończoną prędkością w nieskończoną (nieograniczoną) przestrzeń przez nieskończenie długi czas. Ale na tym nie koniec. Wracajmy na ziemię po inne wnioski niemniej dziwaczne i niemniej logiczne: jeżeli (wg Teorii Względności) prędkość światła względem wszelkich obiektów materialnych jest niezmienna i niezależnie od kierunku ich ruchu wynosi 300 tys. km/sek. – zatem wszelki ruch nie będący światłem jest pozorny, czyli nie istnieje, a więc życie i wszystko, co nie jest światłem jest złudzeniem. Można by z tego wysnuć wniosek, że jedynie światło jest ruchem i życiem, a skoro uważamy się za istoty żyjące jesteśmy jedynie emanacją światła.

Kimkolwiek jestem, jako człowiek stawiam sobie dalsze pytania. Na przykład: co się dzieje przy gonieniu jednej wiązki światła przez drugą? Co się dzieje przy dopędzaniu hipotetycznej rakiety kosmicznej, lecącej z prędkością przyświatlną, przez wysłany z ziemi sygnał radiowy? Jak wyglądałaby komunikacja radiowa z rakieta lecącą z prędkością 290 tys. km/sek.? Czy fale radiowe doganiałyby raketę z prędkością 10 tys. km/sek., czy też z niezmienną prędkością 300 tys. km/sek.? Gdyby doganiały raketę z prędkością 10 tys. km/sek, byłyby zbyt powolne i komunikacja radiowa przy dłuższych lotach stałaby się niemożliwa. Przyjmijmy jednak, że doganiają raketę z niezmienną prędkością 300 tys. km/sek. Co wtedy? Taka sytuacja też przedstawia się niezbyt różowo. Posłużmy się dla przykładu rakieta z tabeli dylatacji czasu, lecącą przez pięćdziesiąt lat czasu raketowego. Według tej tabeli czas raketowy ulega względem czasu ziemskiego osiem tysięcy czterechsetnemu skróceniu. Jaki to wywrze wpływ na komunikację radiową? Wywrze to wpływ zasadniczy, bo wynikną z niego sprzeczne rozkazy ziemi, którym kosmonauci nie będą zdolni sprostać.

Wyobraźmy sobie, że ziemia wysłała rozkaz raz na rok, a więc co 8712 godzin. Czas ten ulegnie w rakiecie osiem tysięcy czterechsetnemu skróceniu, a więc praktycznie kosmonauci

będą otrzymywali rozkaz co godzinę. Rozkazy zmiennej treści, uzupełniające lub zmieniające decyzje ziemi, choćby nawet wysyłane były w odstępach dziesięcioletnich, byłyby odbierane w rakiecie w przybliżeniu, co jedenaście godzin, a rozkazy zmieniające zadania i wytyczające nowe cele, wysyłane na przykład raz na sto lat, odbierane by były w przybliżeniu, co cztery i pół doby. Z taką zmianą dyspozycji trudno by się było kosmonautom pogodzić. Gdyby jednak chcieli polemizować z ziemią i ślali na ziemię codziennie jeden meldunek, to każdy taki meldunek byłby odbierany na ziemi, co dwadzieścia trzy lata, a przez ten czas ziemia wysłałaby już nowe, sprzeczne rozkazy. Tak więc o jakimkolwiek praktycznym porozumieniu radiowym w relacji ziemia–rakiet–ziemia nie może być mowy. Kosmonauci, raz wysłani w przestrzeń międzygwiazdową na długi rejs, są zdani całkowicie i wyłącznie na siebie, aż do powrotu na ziemię. A co będzie po powrocie? W trakcie lotu do jednej z nieodległych gwiazd rodzimej galaktyki trwającego pięćdziesiąt lat świetlnych, na ziemi upłynie czterysta dwadzieścia tysięcy lat, a w ciągu tego niezmiernie długiego dla rozwoju ludzkiej cywilizacji czasu ziemia całkowicie zmieni swoje oblicze. O ile ziemianie nie zniszczą się nawzajem, ani nie zniszczą własnej planety, ich rozwój umysłowy i postęp techniczny, a co za tym idzie i wiedza o świecie w ciągu tego blisko półmilionlecia będą dla kosmonautów (a więc współczesnych nam) niewyobrażalnie wielkie i „rewelacje” przywiezione z kosmosu, zdobyte za pomocą tak przestarzałych aparatów, staną się przysłowiową musztardą po obiedzie. Kosmonauci wraz ze swoim dwudziestowiecznym wyposażeniem, zasobem wiedzy i mentalnością zostaną poczytani za najbliższych krewnych troglodytów, za istoty niewyobrażalnie zacofane (o ile w ogóle uznani będą za ludzi!), bo w ciągu tego okresu ludzkość przejdzie także i fizyczne transformacje i to nie tylko ewolucyjne, lecz z pewnością sztuczne, uzyskane za pomocą manipulacji genetycznych. Kto wie, może sprawozdania przywiezione z kosmosu będą tym nowym ludziom przypominały gaworzenie Australopiteka?

 Nie są to wszystkie wątpliwości. Jeszcze do tych spraw wrócę.

Wyliczanka

(Z przymrużeniem oka)

Oto powrót do tematu w nieco innym ujęciu. W związku z wynikającą z Teorii Względności dylatacją czasu, należałoby podjąć próbę przedłużenia życia (dotyczy to całej biosfery) za pomocą przyspieszenia biegu ziemi, a jeszcze lepiej całego układu słonecznego. Wtedy ludzie mogliby żyć około ośmiuset tysięcy lat, które byłyby odpowiednikiem i w subiektywnym odczuciu jednostki równoważnikiem przeżycia w przybliżeniu dziewięćdziesięciu pięciu obecnych lat ziemskich. Nasuwałoby się pytanie, czy spowolnienie życia oznaczałoby też spowolnienie procesów myślowych (neuronowych)? Nie wydaje się to możliwe, choć kto wie? Może byłoby to równoznaczne ze spowolnieniem procesów cywilizacyjnych i kulturowych?

A gdyby tak przyspieszenie biegu ziemi połączyć z hibernacją, to ludzie mogliby żyć po kilka milionów lat. W takim przypadku starzeliby się równocześnie z hibernowanymi uczestnikami lotów kosmicznych, co byłoby niezmiernie praktyczne. Ponieważ myślenie nie jest naukowo zabronione (choć niemile widziane), spróbujmy eksperymentować dalej.

Po rozpędzeniu naszego układu do prędkości przyświatlnej i wystrzeleniu rakiety, te dwie prędkości przyświatlne musiałyby się zsumować, osiągając prędkość blisko pięćset osiemdziesięciu tys. km/sek., dzięki czemu w praktyce zostałaby prawie dwukrotnie przekroczona prędkość światła. Wiemy, że w teorii istnieje zakaz przekroczenia prędkości światła, ale czy istnieje on w naturze? Przecież w sformułowaniu dotyczącym niezmiennej i nieprzekraczalnej prędkości światła, równej 300 tys. km/sek, jest zastrzeżenie, że dotyczy to prędkości rozchodzenia się światła w próżni. Zastrzeżenie niezwykle istotne, bo dowodzi, że pojęcie niezmiennej prędkości światła jest częścią formułą, jako że gaz stanowi przeszkodę i spowalnia prędkość. A więc nie jest to prędkość niezmienna skoro zdolny jest ją opóźnić nawet niezwykle rozrzedzony gaz, a cóż dopiero mówić o innych przeszkodach materialnych. Zresztą w naturze nie ma idealnej próżni (na przykład w atmosferze ziemi jest około dziesięciu trylionów atomów w jednym centymetrze sześciennym, co równa się dziesiątce z osiemnastoma zera-mi). W okolicach słońca znajduje się ca jeden atom w jednym centymetrze sześciennym, co równa się masie jednego miligrama rozproszony w sześcianie o boku osiemdziesięciu kilometrów. W jednym kilometrze sześciennym przestrzeni międzygwiazdnej jest mniej atomów, niż w jednym milimetrze sześciennym ziemskiego powietrza, nie ma jednak próżni idealnej i dlatego światło nie może osiągać przypisywanej mu prędkości.

Nasuwa się pytanie, czy zderzające się ze sobą wiązki światła spiętrzają się i rozpraszają, czy też następuje wzajemne przebicie (przenikanie), rodzaj osmozy? Nasuwa się również wniosek: ponieważ zgodnie z zastrzeżeniem zawartym w formule prędkość światła nie jest niezmienna i można ją spowolnić, to zapewne można ją i przyspieszyć. Twierdzenie, że prędkość światła jest niezmienna, okazuje się być błędne. W każdym razie wymieniony wyżej eksperyment jest do pomyślenia.

A teraz zrobmy prostą wyliczankę: rakieta pędzi z prędkością dwustu dziewięćdziesięciu tysięcy km/sek, względem ziemi, a ziemia wraz z całym układem z prędkością dwustu dziewięćdziesięciu tys. km/sek, na przykład względem Syriusza, co daje (wciąż względem Syriusza) pięćset osiemdziesiąt tys. km/sek. Jeżeli dodamy do tych prędkości bezwzględną prędkość światła, które biegnie, jakoby niezmiennie, 300 tys. km/sek., mijając ziemię i rakietę, to prędkość światła względem Syriusza będzie się równać osmiuset osiemdziesięciu tysiącom km/sek. Jak to sobie tłumaczyć? A przecież i Syriusza można rozpędzić (teoretycznie) w jego biegu wokół osi galaktyki, aż do prędkości przyświatlnej. Co oznacza bezwzględna prędkość światła „sama w sobie”? Wiemy, że kierunek i prędkość mierzy się zawsze w odniesieniu do układu. Na przykład takie pojęcia jak „góra” i „dół” bez odniesienia do układu nic nie znaczą, a pojęcie „równoczesności” jest nieadekwatne w odniesieniu do dwóch różnych układów. Podobnie jest z prędkością. Tak więc pociąg porusza się z prędkością A pomiędzy stacjami X i Y; ziemia porusza się z prędkością C wokół osi galaktyki, zmierzając w kierunku Układu Herkulesa itd. Jednym słowem „prędkość jako taka”, czy też „sama w sobie” nie istnieje, bo bez odniesienia do układu nie jest mierzalna. Bez punktu odniesienia żadną miarą nie można odróżnić mchu od spoczynku. Tymczasem w myśl teorii światło biegnie z niezmienną i jakoby nieprzekraczalną prędkością 300 tys. km/sek. Jeżeli jednak światło mknie z tą samą prędkością względem wszystkich punktów odniesienia, które mają z kolei różne prędkości zarówno względem siebie jak i względem osi galaktyki, wypływa z tego nieodparty wniosek, że „niezmienna” prędkość światła jest jedynie pozorna. Chcąc zachować niezmienną prędkość względem różnych obiektów, lecących z różną prędkością, światło musiałoby to zwalniać, to znów przyspieszać, bo jak się już rzekło prędkość „sama w sobie” jest zakazana (nic nie znaczy). Dlaczego zakaz ten nie miałby dotyczyć także światła? Czy tylko po to, żeby ku wygodzie innych wyliczeń stwarzać paradoksy urągające podstawowym działaniom arytmetycznym, jak dodawanie i odejmowanie? Przy zachowaniu niezmienną prędkości wobec poruszających się z różną prędkością punktów odniesienia, X minus Y równałoby się X plus Y ; X minus Z równałoby się X plus Z , lecz także byłoby równe X plus Y i X minus Y itd. A żeby X mogło spełniać to zadanie musi mieć wartość zmienną, bo jeżeli za Y przyjmijemy 1, a za Z przyjmijemy 2, to dla spełnienia warunków takiego równania X musiałoby mieć kolejno wartość 3 (bo 3 plus 1 równa się 4), wartość 5 (bo 5 minus 1 równa się cztery) i wreszcie wartość 6 (bo 6 minus 2 równa się cztery). Bowiem nie jest do pomyślenia, żeby jeden plus jeden równało się jednemu minus jeden, a równocześnie było równe jednemu plus dwa i jednemu minus dwa. Powyższe rozumowanie ma na celu wykazać, że prędkość światła jest zmienna. Zapewne powyższa wyliczanka jest prymitywna, ale za to logicznie spójna i zgodna nie tylko z podstawowymi prawami rachunku i algebry, lecz także z zastrzeżeniem o rozchodzeniu się światła w próżni. Nie wydaje mi się, żeby cyframi i działaniami można było dowolnie żonglować, oraz żeby zbliżanie się ku sobie i oddalanie się od siebie było jednym i tym samym.

Dla przykładu weźmy układ A–B. Zakładamy, że w momencie początkowym A jest oddalone od B o dwa miliony siedemset tysięcy kilometrów, a więc na przebycie tej drogi światło potrzebuje dziewięciu sekund. Ale B oddala się od A z prędkością stu tysięcy km/sek. Tak więc po dziewięciu sekundach od chwili rozpoczęcia pogoni, kiedy światło znajdzie się w początkowym punkcie X, B oddali się już od tego punktu o dziewięćset tysięcy kilometrów i światło będzie musiało pokonać tę odległość w ciągu trzech sekund. Przez te trzy sekundy B oddali się o następne trzysta tysięcy kilometrów i światło będzie musiało zużyć dodatkową sekundę. Jako mało istotny pomijam fakt, że przez tę sekundę B oddali się znów o sto tysięcy kilometrów i sprawa zacznie przypominać wyścig Achillesa z żółwiem. Ten „drobiazg” uznajmy za nieistotny. A teraz policzmy: na przebycie układu AB oddalonego początkowo o dwa miliony siedemset tysięcy kilometrów, światło będzie musiało zużyć dziewięć plus trzy plus jedną, czyli trzynaście sekund i prędkość jego względem układu wyniesie 207692

km/sek. – a to dlatego, że prędkość światła zgodnie z Teorią Względności zarówno względem A, jak i względem B wynosi niezmiennie trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Jest to oczywisty nonsens.

Policzmy więc od nowa, ale inaczej: odległość początkowa równa jest dziewięciu sekundom świetlnym i zgodnie z teorią, a myśl której kierunek i prędkość ruchu B są dla światła obojętne, światło dociera do B po dziewięciu sekundach. Robi to ku wygodzie teorii. Wiemy jednak, że B oddali się w tym czasie o dziewięćset tysięcy kilometrów. Oznaczałoby to, że światło przebyło w ciągu dziewięciu sekund odległość początkową (2.700.000 km) plus dziewięćset tys. kilometrów, a więc odległość trzech milionów sześciuset tysięcy kilometrów, gdyż układ ten nie był statyczny. Jak wynika z obliczeń światło musiało mknąć z prędkością czterystu tysięcy km/sek. Inaczej mówiąc, jeżeli światło względem A będzie biegło ze stałą prędkością 300.000 km/sek., to względem B będzie biegło w pierwszym przypadku 207692 km/sek., a w drugim 400.000 km/sek. – bowiem gdyby biegło z niezmienną prędkością 300.000 km/sek. równocześnie względem A i B, musiałyby zużyć na pokonanie zmieniającego się układu AB ponad trzynaście sekund, mimo że początkowa odległość wynosiła dziewięć sekund świetlnych. Po to, żeby teoria nie kłóciła się z naszym eksperymentem trzeba by dopuścić albo zmienną prędkość światła, albo zmienną (inaczej mówiąc względną) wartość czasu, który byłby różny dla punktu A, punktu B i dla światła. W rozpatrywanym przykładzie wartość czasu światła względem wartości czasu układu AB musiałyby się równać dziewięciu trzynastym.

A teraz przyjrzyjmy się sytuacji odwrotnej, to znaczy kiedy B będzie się przybliżać, a układ A–B skracać. Okazuje się, że światło wysłane z A napotka B po niespełna siedmiu sekundach, bo w tym czasie światło pokona niespełna dwa miliony sto tysięcy km, B niespełna siedemset tysięcy kilometrów i spotkają się w odległości nie mniejszej, niż dwa miliony kilometrów i nie większej, niż dwa miliony sto tysięcy km od A. Jak wynika z obliczeń, te siedem sekund przedstawia identyczną wartość dla światła i dla obserwatora z układu A–B, co dowodzi, że światłu wcale nie jest obojętne, czy B oddała się od A, czy też się do niego przybliża.

Wniosek taki obala założenia bezwzględnej prędkości światła, niezależnej od ruchu obiektu, bo gdyby tak było, światło musiałyby docierać w takim samym czasie niezależnie od długości odcinka, albo, inaczej mówiąc, musiałyby docierać na każdą odległość natychmiastowo.

Pytania

Czy można, nie uciekając się do równań algebraicznych, a posługując jedynie przykładem (opisem), wyjaśnić ignorantowi niektóre kwestie z Teorii Względności?

Co oznacza „bezwzględna” prędkość światła, bez odniesienia do układu?

Jaką prędkość względem siebie będą miały dwa promienie przeciwbieżne (rozbieżne), a jaką biegnące równoległe?

Co się dzieje, kiedy zderzają się dwie wiązki światła? Czy jest możliwe, żeby się wzajemnie, bezkolizyjnie przenikały, czy silniejszy spycha słabszy, czy też następuje spiętrzenie fotonów, a więc gigantyczna elektrokatastrofa? Czy zderzające się promienie rozpraszają się? Jeżeli tak, dowodziłoby to „katastrofy”.

Jaka będzie prędkość światła względem obiektu lecącego z prędkością przyświatłą, jeżeli równocześnie trafi się obiekt lecący ze znacznie mniejszą prędkością (np. 20 km/sek.) Czy te dwa lecące obok siebie z tak różną prędkością obiekty światło może mijać z identyczną względem nich prędkością 300 tys. km/sek?

Gdyby promień światła znalazł się pomiędzy dwiema przeciwbieżnymi prędkościami przyświatłymi, w jaki sposób relacja jego prędkości względem tych dwóch przeciwstawnych prędkości mogłaby być jednakowa?

Teoria zakłada, że przy prędkości światła masa wzrasta nieskończenie, z czego wynika, że światło nie jest natury fizycznej. Gdyby światło miało nieskończenie wielką masę, na świecie musiałyby być nieskończenie jasno. Gdzie tkwi błąd?

Czy zgodnie z dylatacją czasu wraz ze wzrostem szybkości ulegają spowolnieniu również procesy neuronowe i czy to jest w ogóle możliwe?

Czy świat jest nieskończenie wielki? Wiemy, że dowolny ułamek nieskończoności sam jest nieskończonością i, że jesteśmy ułamkiem świata. Nie jesteśmy jednak nieskończenie wielcy. Płynie stąd wniosek, że świat jest skończony i, że słuszny jest paradoks fotometryczny Olbera.

Jaki sens ma rozpatrywanie pojęci a nieskończoności i przypisywanie mu cech, skoro wynikają z tego jedynie paradoksy?

Uprawdopodobnione nieprawdopodobieństwo

Poruszając zagadnienie lotów kosmicznych rozpatrywanych w świetle Teorii Względności, nie można pominąć pytania zasadniczego: czy istnieje jakaś nadzieja na możliwość osobowych kontaktów międzyplanetarnych i czy warto poświęcać tej sprawie tyle uwagi?

Odpowiadam na to pytanie twierdząco: możliwość personalnych kontaktów nie tylko istnieje, lecz od dawna jest faktem dokonanym. Sprawa ta jest dość powszechnie znana, udokumentowana licznymi zdjęciami i zeznaniami naocznych świadków, zarówno przypadkowych „przechodniów” jak i ludzi nauki, osób cywilnych, pełniących służbę wojskowych i policjantów. Istnieje wiele międzynarodowych komisji, składających się z wybitnych naukowców na ogół nastawionych niezwykle sceptycznie, a jednak nie negujących autentyczności zjawisk. Oczywiście jest także mnóstwo niedowiarków, zwłaszcza wśród ludzi nie obeznanych z tematem, silących się na oryginalność i „niezależność” poglądów, ale wobec faktów, które zostały już wielokrotnie stwierdzone, sprawdzone i udokumentowane, człowiek przeczący istnieniu UFO i jego pasażerów, przypomina osobnika, który z uporem godnym lepszej sprawy twierdziłby, że ptaki nie mogą latać, bo są cięższe od powietrza.

Ufonauci obserwują nas, lecz poza nielicznymi wyjątkami nie szukają z nami kontaktów personalnych i nie dążą do nawiązywania dialogów. Dlaczego? Czy obserwują nas tak, jak my obserwujemy mrowiska i nie interesuje ich nasza psychika tylko nasza planeta? A może na podstawie obserwacji poznali już naszą psychikę, lub wiedzą, że poznać jej do końca nie sposób? Przecież ten sam człowiek postawiony kilkakrotnie w tej samej sytuacji, prawie za każdym razem będzie reagował inaczej. Na przykład wobec grożącego zniwastowania niebezpieczeństwa raz skamienieje ze zgrozy, innym razem będzie uciekał co sił w nogach, kiedy indziej będzie próbował pertraktować, prosić lub grozić, a jeszcze kiedy indziej wyzwoli się w nim agresja i sam przeistoczy się w napastnika. Człowiek to istota nieobliczalna i rozmowa z nim do niczego nie prowadzi, bo rzadko kiedy dotrzymuje zobowiązań, jest chwiejny, niekonsekwentny i zmienia zdanie.

Nie chcę dowodzić istnienia UFO i ufonautów, bo ludzie z każdym odkryciem (nowym zjawiskiem) muszą się oswajać co najmniej przez dziesiątki lat, a rzeczy oczywiste zawsze początkowo wydają im się nieprawdopodobne. Wbrew logice najbardziej zachowawcza jest nauka. Ludzie bez zastrzeżeń wierzą w to, że na biegunach panują mrozy, a noc trwa przez pół roku, choć nigdy osobiście tam nie byli – lecz nie chcą uwierzyć w istnienie UFO ci, którzy sami ich nie widzieli. Jest to ciekawe zjawisko, ale nas w tej chwili interesuje co innego: cel tych ustawicznych odwiedzin. Czy przypadkiem nie jesteśmy kosmicznym posiewem i czy nie jesteśmy obserwowani jak białe myszki w kosmicznym laboratorium? Czy ufonautom idzie o obserwację, czy też są to wieloletnie staranne przygotowania do eksploracji planety?

Ludzie roją sobie wojny międzygwiazdne, które są pomysłem nonsensownym, bo zakładają równość inteligencji istot z różnych układów planetarnych i równość środków technicznych, co zakrawa na całkowitą bzdurę. Zresztą, jeżeli nawet ufonautom idzie o naszą planetę, to po pierwsze mogliby z nami koegzystować (kto wie, czy nie koegzystują i to od dawna?), po wtóre ich psychika i cywilizacja niewątpliwie starsza i stojąca na wyższym poziomie niż

nasza mogłaby nie pozwalać na wyniszczenie nas, wreszcie po trzecie, widząc to, co się dzieje na ziemi i obserwując liczne wybuchy termojądrowe doskonale mogą sobie zdawać sprawę, że interwencja jest całkowicie zbędna, bo za kilkanaście, a najdalej za kilkadziesiąt lat sami się doszczętnie wyniszczymy i plemię ludzkie całkowicie wyginie, wyparuje z powierzchni ziemi.

Oczywiście jest to wizja skrajnie katastroficzna, ale w sytuacji permanentnej niewiedzy i niepewności dopuszczalne, a nawet pożądane są różnorakie interpretacje. Niektórzy uczeni, przecząc faktom powiadają, że UFO to czysta mistyfikacja, wytwór ludzkiej fantazji, bezrozumna tęsknota do fikcji. Pytają, czy można podobne złudzenia traktować serio.

Otóż to! Ludzie poważni wszelkie hipotezy traktują poważnie. Zresztą UFO od dawna przestało być hipotezą, stało się niezaprzeczalnym faktem obserwowanym przez teleskopy i radary, fotografowanym i analizowanym nie tylko przez żądnych sensacji maniaków. Trudno posądzać o maniactwo precyzyjne przyrządy i najpoważniejszych specjalistów z dziedziny kosmonautyki. UFO było obecne podczas odpalania silników kosmicznych „Gemini 4” i „Gemini 7”; dwa UFO towarzyszyły statkowi kosmicznemu „Apollo 12” na przestrzeni 132 tysięcy mil, co wyraźnie stwierdził kosmonauta F. Gordon, specjalista wysłany w przestrzeń pozaziemską w celach czysto naukowych. Czyżby Gordon mistyfikował? Jeżeli tak, to czym wytłumaczyć fakt pojawienia się UFO na ekranie radaru śledzącego rakietę kosmiczną, wystrzeloną dnia 10 stycznia 1964 r.? Przecież nieznaną obiekt, towarzyszący tej rakiecie, obserwowany był przez 14 minut. Dlaczego i w jaki sposób zginął amerykański kapitan lotnictwa Thomas Mantel, który na samolocie wojskowym „Mustang P-51” wyruszył w pogoń za UFO z lotniska Goodman w Fort Knox? Dlaczego amerykańskie dowództwo sił powietrznych wydaje pilotom szczegółowe instrukcje na wypadek spotkania z UFO? W jaki sposób ufonauci poznali najgłębszą tajemnicę Stanów Zjednoczonych i w 1943 roku pojawili się nad Handford, gdzie przeprowadzano badania nad pierwszą bombą atomową, zrzuconą w dwa lata później nad Hiroszimą? W Handford nie pracowali żądni sensacji amatorzy, tylko najwybitniejsi specjaliści od spraw fizyki jądrowej, a jednak obserwowali krążące nad laboratorium małe statki UFO. Skąd ufonauci biorą tak dokładne informacje, skoro, jak sądzą niektórzy, UFO są jedynie tworem wyobraźni? UFO ukazały się nad atolem Eniwetok w 1952 r., tuż przed eksperymentalnym wybuchem pierwszej bomby wodorowej, a w 1961 r. nad miejscem pierwszej podziemnej eksplozji jądrowej w Nowym Meksyku znanej pod nazwą „Gnom”. Towarzyszyły także manewrom morskim flot wojennych. Bywają widywane w powietrzu i wykrywane w głębinach oceanów, zwłaszcza w rejonie sławnego Trójkąta Bermudzkiego. Dlaczego i w jaki sposób nad Trójkątem Bermudzkim giną samoloty i załogi statków, a nawet całe okręty? W jaki sposób wytłumaczyć tajemnicze znikanie z ekranu radarów samolotów, które ulatniają się bez śladu lub przeciwnie, dolatują do celu z niczym nie wytłumaczonym przyspieszeniem, a wszystkie ich zegary pokładowe i zegarki załogi oraz pasażerów wskazują inny czas niż zegary ziemskie?

Jeżeli sceptycy krzywią się z niedowierzaniem i chcą to wszystko uznać za czczy wymysł, to trzeba by stwierdzić, że cała współczesna nauka jest tylko czczym wymysłem i mistyfikacją, bo najwybitniejsi specjaliści od programów kosmicznych, astronomowie, oceanolodzy i uczeni wielu innych dyscyplin zrzeszają się w międzynarodowych organizacjach, mających na celu studiowanie i dyskutowanie tych zagadnień. Znajdują się wśród nich tacy ludzie, jak twórca systemu programu kosmicznego „Apollo” i konsultant sił powietrznych do spraw UFO w USA.

Oczywiście, najłatwiej jest wzruszyć ramionami i ironicznie się uśmiechnąć, tylko że to niczego nie wyjaśnia. Owszem, można przeczyć hipotezom, ale nie wolno przeczyć faktom, a UFO to bezspornie stwierdzony fakt, a raczej fakty, powtarzające się zbyt często i zbyt mocno udokumentowane by można je było ignorować i niefrasobliwie udawać, że nie istnieją. Zgoda. Obecny stan wiedzy nie pozwala na rozwikłanie wielu zagadek, nie znaczy to jednak, że-

by z takich prób rezygnować. Jeżeli teorie nie zgadzają się z faktami, tym gorzej dla teorii. Nauka często zmienia swój stosunek do świata zjawisk, usiłuje dopasowywać do niego wciąż nowe teorie, ale fakty pozostają niezmiennie. Niektóre teorie pasują do niektórych faktów, przynajmniej fragmentarycznie i wtedy nauka odnosi częściowy sukces. Takimi właśnie skokami dokonuje się rozwój wszelkich odkryć naukowych. To prawda, że poważni ludzie popełniają niekiedy poważne błędy, ale inni, którzy dostrzegają te błędy, starają się je sprostować i znowu wiedza postępuje maleńki krok naprzód. Co by jednak było, gdyby wszyscy poważni naukowcy odwrócili się od wszelkich trudnych zagadnień w obawie przed popełnieniem błędu? Ci, którzy omijają, spływają bądź wyśmiewają zjawiska trudne do zrozumienia, nie zasługują na miano ludzi nauki, podobnie jak różni autorzy, czyniący banalne, a nawet szkodliwe próby wrzucania wszystkiego do jednego worka, czyli sprowadzani a odmiennych spraw do wspólnego mianownika.

Istnieje wiele rzeczy i zjawisk frapujących: tajemnice Dogonów okrywające znajomość planet Syriusza, kalendarz na Bramie Słońca w Tiahuanaco, tajemnicze obserwatorium astronomiczne w Stonehenge, mapy Piri Reisa, zagadkowe stopy platyny sprzed kilkunastu tysięcy lat, kiedy to ludzie jakoby nie potrafili stwarzać wysokich temperatur, baterie elektryczne sprzed czasów faraonów, kamienne pierwowzory płyt gramofonowych sprzed 12.000 lat, znalezione w Bajan–Chara–Uła we wschodnim Tybecie i rychityczni ludkowie, nie należący do żadnej ze znanych nam grup etnicznych, japońskie figurki „dogu” liczące tysiące lat, a jednak przystrojone w kompletne skafandry kosmiczne („dogu” w Japonii i Dogonowie w Afryce – też ciekawe zestawienie), tajemnicze przesunięcia w czasie i przestrzeni, zaginięcia ludzi, samolotów i statków, „trzęsienie nieba” nad rejonem Morza Sargassowego, kipienie Atlantyku i tajemnicze sygnały radiowe z głębin oceanu, świecenia oceanu i inne dziwy, które przyprowadzają o zawrót głowy. W jakim celu dodawać do tego kamienne posągi z Wysp Wielkanocnych albo zawile rysunki i płaskowyzu Nasca w Peru? Byłoby lepiej pamiętać, że Heyerdahl płynąc na swojej tratwie Ra II widział wyłaniające się z Morza Karaibskiego UFO. Czy taki argument nie jest bardziej ważki? Wielość argumentów z różnych odrębnych dziedzin wcale nie przemawia na korzyść teorii o wizytach pozaziemskich gości. Lepszy jest jeden celny argument niż dziesięć wątpliwych, które tylko rozmydlają zagadnienie.

Do stworzenia adekwatnej teorii potrzebna jest odwaga i wyobraźnia. Podejrzewam, że teoria musi być bardziej zwariowana od faktów. Czyż teoria geometrii nieeuklidesowej nie byłaby kompletnie zwariowana jeszcze niespełna sto lat temu? Czym byłaby zakrzywiona czasoprzestrzeń i przecinające się w nieskończoności równoległe, jeżeli nie czystym wariacstwem? Czym są dzisiaj czarne dziury, kwazary, kwarki i geony? Czym jest teoria równoległych światów, umieszczonych w tej samej przestrzeni, lecz w innym wymiarze? Dlaczego teoria UFO miałaby być prostsza, łatwo dająca się ogarnąć umysłem? Ważne jest tylko jedno: należy połączyć niebywałe i częstokroć sprzeczne fakty w logiczną całość, bez względu na wyływający stąd wniosek, choćby najbardziej szalony i śmiały. Spróbujmy.

Zestawienie faktów.

1) Giną ludzie, statki i samoloty (nawet cała eskadra samolotów bojowych). Piloci są całkowicie zdezorientowani, pozbawieni poczucia czasu i kierunku. Zagubieni w przestrzeni i czasie, nikną bezpowrotnie w sposób zagadkowy.

2) Dezorientacja następuje na wąskim wycinku przestrzeni. Na przykład Amerykanka Carolyn Cascio krążyła w awionetce przy doskonałej widzialności nad Grand Turk na Wyspach Bahama obserwowana z ziemi przez tłumy – nie mając pojęcia gdzie się znajduje i nie widząc ziemi. Następnie odleciała i zniknęła bezpowrotnie.

3) Zdarzenia następują w wąskim wycinku czasu. Statek „Resolven” spotkano, gdy płonął jeszcze ogień w kuchni. Ludzie zniknęli niewytłumaczalnie, bez śladu.

4) W rejonie Trójkąta Bermudzkiego następują przesunięcia w czasie i przestrzeni, co jest połączone z zakłóceniami bądź całkowitym unieruchomieniem instrumentów pokładowych.

Na krótkich trasach zdarzają się loty skrócone w niepojęty sposób o ponad godzinę. Wszystkie zegary wskazują wówczas odmienną godzinę względem zegarów ziemskich.

5) Zjawisko najczęściej towarzyszące znikaniu samolotu lub statku, to obłoczek dziwnej pary bądź też żółtej mgły, spowijającej znikający obiekt, notabene na całkowicie bezchmurnym niebie. Po rozwianiu się mgły obiekt ziemski nie istnieje.

6) Najczęstsze zjawisko optyczne w rejonie Trójkąta Bermudzkiego, to: żółta mgła, świecenia oceanu, oślepiająca jasność połączona z wybiegającymi z niej promiennymi smugami, ciemne plamy w przestrzeni. Najczęstsze zjawiska akustyczne: tajemnicze sygnały alarmowe i nieodgadnione głosy, nierozszyfrowywalne dla komputerów sygnały radiowe i powtarzanie się ziemskich sygnałów radiowych – raz nadane, powtarzają się i docierają dwukrotnie, jak gdyby przez kogoś dublowane. Zjawiska optyczno–akustyczne: „trzęsienie morza” w postaci wodnej kopuły mającej ponad pół mili wysokości i tyleż obwodu, „trzęsienie nieba”, wyrażające się detonacjami o sile równającej się wybuchowi stu ton dynamitu.

7) UFO pojawiają się od wieków. Ostatnio najczęściej nad Trójkątem Bermudzkim.

8) UFO były obserwowane i opisywane od kilku tysięcy lat, ale do tej chwili wkładano to pomiędzy bajki. Mamy o nich relacje w tekstach staroindyjskich, babilońsko–asyryjskich, chińskich, egipskich (faraona Totmesa III), Krzysztofa Kolumba, który płynąc widział „błyski żywego ognia” – potwierdzone współcześnie przez załogę „Apollo 12”. Wrzenie morza i wynurzenie się z niego UFO obserwował Thor Hayerdahl, płynąc przez Morze Karaibskie 1 lipca 1970 r. na tratwie „Ra II”. Obecność UFO i znikanie samolotów wielokrotnie stwierdzone zostały za pomocą przyrządów (radar, teleskop) przez obserwatoria astronomiczne, kosmonautów, pilotów i innych świadków wiary godnych, a także przez zdjęcia a fotograficzne.

9) Ufo zmieniają konsystencję, kształt, barwę, prędkość i tor lotu; zawisają nieruchomo w powietrzu, lądują na ziemi, wodują, nurkują i przebywają w niedostępnych głębinach Atlantyku (Rów Mariański, Rów Puerto Rico, Doliny Hatteras i Nares); mogą się poruszać z niebywałą prędkością i rozwijają fantastyczne przyspieszenia.

10) Ufonauci mają różny wygląd: jasnowłosych olbrzymów, małych zielonych ludków, postaci o głowach wielkich i oczach zmieniających barwy (zielona, pomarańczowa, biała). Porucznik Taylor ze słynnego lotu 19 nadał meldunek: „Oni wyglądają, jakby byli z innej planety.”

11) We wszystkich zaobserwowanych przypadkach istnieje ich podobieństwo do ludzi, a także cechuje ich ludzkie zachowanie i znajomość języka. Jest to zastanawiające.

Na temat UFO można snuć najrozmaitsze domysły, począwszy od najskromniejszych. Oto niektóre z nich:

1) Jest to rodzaj oceaniczno–powietrznej fatamorgany, w której ulegają dezorientacji i złudzeniu nie tylko ludzie, lecz także instrumenty pomiarowe.

2) Obserwowana niekiedy metaliczna płynność UFO, zmiana w locie kształtu i kolorów (cygaro–dysk; niebieski–fioletowy–pomarańczowy) wskazywałyby na to, że materialne obiekty UFO otoczone są nieznanym nam polem napędowym (siłowym?) otaczającym właściwy pojazd i chroniącym go przed zetknięciem się z ciałami mogącymi spowodować katastrofę, takimi jak meteoryty, samoloty, ewentualne pociski itd. To nieznanne nam pole energetyczne może być pochodzenia elektrycznego, magnetycznego, elektromagnetycznego, antygravitacyjnego itp. bądź kombinowanym kojarzeniem tych pól albo innym rodzajem energii dotychczas przez nas nie odkrytej lub takiej, której nigdy nie odkryjemy, bo nie da się jej wytworzyć w naszej czasoprzestrzeni. Energię tę, być może, da się w przyszłości przynajmniej przewidzieć czysto teoretycznie. Istnienie takiego pola ochronnego wokół rakiety UFO wyjaśniałoby obserwowaną w pewnych wypadkach półpłynność obiektu oraz dowolne zmienianie kształtu i barwy, być może uzależnione od szybkości, kierunku, wysokości lotu, rodzaju manewru itd.

3) Ludzkiego zachowania się ufonautów dowodzą na pozór sprzeczne fakty:

a) Bombowiec B-52 nękany nad Atlantykiem przez UFO przed lądowaniem nad Południową Karoliną eksplodował w powietrzu;

b) UFO nękające inny samolot natychmiast spełniło wyrażoną przez radio prośbę pilota, aby wzbiło się wyżej.

Dowodziłoby to czysto ludzkich cech ufonautów i zróżnicowania charakterów. Tak więc ze sprzecznych faktów można wyciągać jednoznaczne wnioski. Tym pewniejsze wnioski można wyciągać z istniejących analogii:

W ciągu ostatnich dziesiątków tysięcy lat zginęło na ziemi wiele cywilizacji. Niektórych się domyślamy, inne znamy z wykopalisk i podań. Na przykład Assyria, Niniwa, Babilon, Majowie i tak dalej. Prawdopodobnie istniała Atlantyda i Pacyfida. Według doktryny Wegenera jednolity ląd rozzerwał się i rozpląnął. Poszczególne kontynenty jeszcze dzisiaj dryfują i oddalają się od siebie. Wiemy, że istniały takie przyczyny upadków cywilizacji jak wędrówki lodowców, potopy i upadki meteorytów, zmiany klimatów, podnoszenie się poziomu wód, przesunięcia biegunów itd. Zaginione cywilizacje pozostawiły po sobie ślady w postaci

a) nielicznych, którzy przeżyli, bo od nich pochodzą wiadomości przekazywane z pokolenia na pokolenie aż do dzisiaj, niestety tylko w formie legend, zdeformowane, obrosłe w fikcję i literaturę religijną;

b) licznych dowodów materialnych: piramid, terasy w Baalbeck, „Kamienia Południa” i innych, wymienionych poprzednio. A przecież z tych ocalałych, arcyskromnych szczątków bardzo nieliczni pozostali ludzie odnawiali i odbudowywali kolejne cywilizacje, a nasza obecna osiągnęła już taki rozwój, że zaczyna wprowadzać nas w kosmos.

Jeżeli po kolejnym kataklizmie, na przykład po użyciu bomby neutronowej, ocaleją zdobycze techniczne: budynki, elektrownie, aparatury, instrumenty, fabryki, książki, archiwa, taśmy magnetyczne, filmy, płyty itd., a do tego uda się przetrwać grupie ludzi o umysłach twórczych, zwłaszcza uczonym, których mutanci mogą się okazać nie tylko potworkami, lecz i geniuszami, i jeżeli ci ocaleni, nie zagrożeni wojną będą mieli do dyspozycji wszystkie te urządzenia i cały dotychczasowy zasób wiedzy, rozwój nauki może przebiegać lawinowo. Być może ludzie ci będą zmuszeni zejść w głębiny oceanów ze względu na znacznie słabsze napromieniowanie. Za kilka tysięcy lat potomkowie tych ocalonych, nieliczni genialni mutanci dokonają rzeczy, o których nam się dzisiaj nie śni. Będą umieli wyzwać siły anty grawitacyjne, pokonają pole magnetyczne i będą nim swobodnie manewrować, a nawet pokonają czas, to znaczy rozwiążą zagadkę czasoprzestrzeni i innych wymiarów. Wtedy znany nam wszechświat może stać się dla nich jednym punktem, a wieczność jednym mgnieniem.

Mając rozum i wiedzę, osiągną też nieporównywalnie wyższą etykę. Zdolni do podróży w czasie i przestrzeni, będą mogli być równocześnie zawsze i wszędzie. We wszystkich odwiedzanych przez nich czasach i miejscach, we wszystkich światach, zawsze i wszędzie obowiązywać ich będzie zasada absolutnej nieinterwencji. Wędrując w przeszłość będą o niej wiedzieli wszystko, podobnie jak my wiemy o bitwie pod Grunwaldem, a ufonauci wiedzą o nas. Wędrując w przyszłość będą ją tylko oglądali, lecz nie zrozumieją niczego, podobnie, jak my nie umiemy sobie wytłumaczyć dzisiaj ich obecności, choć widzimy ich na własne oczy. Istoty żyjące w przyszłości niczego ich nie nauczą, podobnie jak oni, ufonauci, niczego nie ucą nas, bo ingerowanie w przeszłość zmieniałoby bieg przyszłych wydarzeń, co jest przecież niemożliwe, bo przeczyłoby ich istnieniu i sposobowi życia. Reasumując to wszystko zakładam, że:

1) Istnieje rozchylenie bądź luka w czasoprzestrzeni albo też ufonauci takie właśnie rozchylenie sami sztucznie stwarzają. W tej luce muszą się wynurzać i do niej wracać. Być może taka luka istnieje właśnie w rejonie Trójkąta Bermudzkiego.

2) Kto w chwili przechodzenia ufonautów przez czasoprzestrzeń znajduje się w pobliskim rejonie

a) traci poczucie czasu i kierunku;

b) może niepostrzeżenie przejść w inny wymiar i w związku z tym w sposób dla nas niewytłumaczalny zniknąć z pola widzenia nawet radaru. Być może znikanie to jest przypadkowe i wynika z niedoskonałości ich techniki lub powstaje w wyniku zakłócenia czasoprzestrzeni. Możliwe jednak, że ufonauci zabierają pojedyncze egzemplarze jako eksponaty, podobnie jak my zabieramy wykopaliska do muzeum archeologicznego. Byłoby to dopuszczalne, bo takie pojedyncze zniknięcia nie zakłócają rozwoju ludzkości i nie mają wpływu na przyszłość świata.

3) oglądanie takiego przejścia przez czasoprzestrzeń wygląda z ziemi na niespodziewane pojawianie się lub niespodziewane znikanie.

4) Ludzie ci, bo tak będę mówił o ufonautach, wyłaniają się z oceanu na swoich UFO w rejonie Trójkąta Bermudzkiego i znikają w nim, lecz ich tam nie ma, bo równocześnie znikają w czasie. Mogą jednak istnieć wypadki, że śledząc łodzie podwodne zatrzymują się w głębinie, podobnie jak zatrzymują się w powietrzu. Badając głębiny oceanów nie możemy ich znaleźć, gdyż znajdują się tam dopiero za ileś lat, po opanowaniu anty grawitacji, sterowania polem magnetycznym, przechodzenia w inną czasoprzestrzeń i pilotażu UFO.

5) Po odkryciu tych technik, swobodnie manewrując czasem i przestrzenią będą mogli odwiedzać dowolne epoki i galaktyki, bo czas i przestrzeń nie będą dla nich przeszkodą. Dlatego też przyszli ludzie–ufonauci.:

a) odwiedzali nas już przed tysiącami lat, o czym wspominają dokumenty i ludzie: Biblia, Mahabharata, Gilgamesz, faraon Totmes III, Kolumb

b) odwiedzają nas obecnie

c) będą nas odwiedzać w przyszłości.

6) Jako przybysze z bardzo odległej przyszłości, umiemy wyjść poza czas, odwiedzają wszystkie epoki, które być może widzą równocześnie jak rozwiniętą taśmę filmową. I dlatego

a) wiedzą o nas wszystko, gdyż znają całą naszą historię i wszystkie języki. Podobnie jak uczniowie w szkole oglądają telewizję lub przezroczą na wykładach z historii i geografii – ufonauci mogli i mogą w każdej chwili oglądać pierwsze operacje nad bombą atomową w Instytucie w Handford; pierwszą podziemną eksplozję bomby atomowej, tzw. „Operację Gnom”: wybuch bomby H nad atolem Eniwetok. Pojawiali się zawsze przed rozpoczęciem tych operacji, dostępni naszym oczom i instrumentom. To daje do myślenia, gdyż pojawiali się od tysięcy lat przed wszystkimi większymi wojnami i klęskami, a ówczesni ludzie tłumaczyli to sobie jako zjawiska nadprzyrodzone, objawienia, „ogień niebieski” itp.

b) Nie chcą i nie mogą nawiązać z nami kontaktu, gdyż

– interesujemy ich tylko jako obraz lub lekcja historii

– nie interesują ich nasze oświadczenia, bo wiedzą o nas znacznie więcej niż my sami o sobie

– nie wolno im niczego u nas zmieniać ani o niczym nas pouczać.

Gdyby zmienili przeszłość, a więc nasz świat, zmieniliby przyszłość a więc własne losy, co jest niepodobieństwem, bo ich byt przerodziłby się w niebyt i okazaliby się iluzją.

7) Będąc o każdym czasie w każdym miejscu, są w naszym pojęciu wszędzie i nigdzie, zawsze i nigdy.

8) Pozostaną dla nas na wsze czasy nieuchwytni, bo świadomie wyprzedzają nas zaledwie o tyle, o ile im to wygodne i przydatne.

a) w roku 1929 Thomas Stuart na statku „Goldwater”, poruszającym się zapewne z prędkością nie większą niż kilka do kilkunastu kilometrów na godzinę, widział latający obiekt, którego prędkość określił jako „niesamowitą”, dochodzącą do 160 km/godz.

15 listopada 1964 r, w obserwatorium w San Miguel koło Buenos Aires obserwowano przez teleskop UFO, okrążające satelitę ziemi „Echo II”. Prędkość satelity wynosiła 25.000 km/godz., a prędkość UFO określono na podstawie obliczeń na 100.000 km/godz.

b) ścigane przez samoloty myśliwskie, UFO rozwijają przyspieszenie dla tych samolotów nieosiągalne, z 200 do 800 kilometrów na sekundę.

c) w 1963 roku w czasie manewrów floty USA w rejonie Trójkąta Bermudzkiego, łódź podwodna opuszczała się w głąb oceanu za niezidentyfikowanym obiektem, ale bez powodzenia. Maksymalna prędkość łodzi wynosiła 80 km/godz., a prędkość obiektu 280 km/godz.

d) atakowane przez samoloty UFO nie tylko przewyższają je prędkością i zwrotnością, lecz wchodzi na nieosiągalny dla tych samolotów pułap; obiekt ścigany przez okręt podwodny zanurzył się na nieosiągalną dla okrętu głębokość 8 kilometrów. Inaczej mówiąc, niesłychanie nas przewyższają, bo dowolnie umieją się posługiwać czasem i przestrzenią,

9) Różny wygląd i różne zachowanie obiektów mogą wywodzić się stąd, że pochodzą one z odmiennych, odległych w przyszłości epok, począwszy od momentu przeniknięcia po raz pierwszy przez kurtynę czasoprzestrzeni. Są to więc wciąż te same istoty, ludzie, ale w różnych fazach rozwoju i stosujący odmienne techniki. Może ci najpierwsi, o najmniej doskonałej technice, wykazującej jeszcze pewne usterki, powodują znikanie osób i przedmiotów, nie przewidziane przez nich i nie wkalkulowane w obliczenie? Być może zwiedzają wiele układów słonecznych i światów o jakich nie mamy pojęcia? Na ziemi wylaniają się ze swojej pierwszej bazy, schowka antynuklearnego, gdzie skryli się w czasie wojny termojądrowej lub katastrofy. Tam właśnie początkowo będą, a po dokonaniu odkrycia podróży w czasie bywają obecni i teraz jako goście i obserwatorzy.

10) Przenikanie przez czasoprzestrzeń zakłócając ją powoduje zjawiska dla nas niepojęte, dla nich oczywiste i wkalkulowane w eksperyment. Nasze samoloty naddźwiękowe, przełamując barierę dźwięku też powodują nakładanie się fal połączone z odgłosem, który byłby niepojęty dla naszych przodków.

11) Prawdopodobnie UFO pojawiają się teraz częściej niż kiedykolwiek, gdyż nasza epoka jest w pewnym sensie przełomowa i obfituje w doniosłe odkrycia: teorii względności, pierwiastków promieniotwórczych, tranzystorów i obwodów scalonych, cybernetyki, laserów i holografii, elektroniki, rozszczepiania jąder atomu, syntezy wodoru, reaktorów jądrowych, radaru, radioteleskopu, przewyciężania siły grawitacji ziemskiej i pierwszych podróży w naszym Układzie Słonecznym, które na wyrost dumnie nazywamy podróżami kosmicznymi.

Podobnie i nasi archeolodzy pojawiają się liczniej tam, gdzie znajduje się większe bogactwo wykopalisk. Im większy i ciekawszy obiekt, tym liczniejsza ekipa.

12) Założenie, że UFO jest wynalazkiem współcześnie ziemskim, jest wykluczone.

13) Założenie, że UFO pochodzą spoza naszej Galaktyki też jest nie do przyjęcia, jeżeli nie zaakceptujemy umiejętności manipulowania czasoprzestrzenią. Skoro zaś taką umiejętność zaakceptujemy nie ma potrzeby poszukiwania rozwiązań poza naszym układem. Zresztą wtedy i tak wszystko jedno. Wniosek końcowy:

Są to przybysze z odległej przyszłości, genialni mutanci zrodzeni z ocalałej po katastrofie nuklearnej (neutronowej) grupy ludzi światłych. Być może zginie nasza cywilizacja, ale nie całkowicie. Urządzenia naukowe, archiwa i cały arsenał wiedzy ocaleją i to w wielu miejscach na ziemi.

Genialni mutanci, startując z bardzo zaawansowanej pozycji, dojdą po tysiącletniach do tych właśnie zdumiewających rezultatów, które wrywkowo obserwujemy nie rozumiejąc ich, bo i skąd? Jeżeli różne istoty z różnych epok mogą być obecne zawsze i wszędzie, dowodzi to istnienia równoległych światów, i to nie dwóch, lecz nieskończonej wielości światów na tym samym miejscu i w tej samej chwili.

Akademia cudów

Wracając do poruszonej w rozdziale pierwszym (Big–Beng) wielości czasów, w efekcie wybuchu musiałyby powstać wiele czasoprzestrzeni o różnych „parametrach”, a więc różnych czasach, różnej grawitacji i różnych polach magnetycznych, czyli o odmiennych właściwościach. Mówiąc inaczej, byłaby to nieskończona ilość odmiennych czasoprzestrzeni, jakiś kosmiczny labirynt i kto wie, czy nie można by się było poruszać w nim na skróty, bowiem przy takiej mnogości czasoprzestrzeni musiałyby się utworzyć różnorakie konfiguracje, a więc skrzyżowania i pętle czasów, sploty, warkocze i wielokierunkowe nurty. Siatkę czasów stanowiącą opłot wszechświata, być może należałoby uznać za unerwienie kosmosu.

Przy takim założeniu poszczególne czasoprzestrzenie nie mogłyby być kuliste, gdyż w postaci kul nie przylegałyby do siebie, a jak nam wiadomo natura nie znosi próżni. Najbardziej ekonomiczna byłaby budowa wszechświata na podobieństwo plastra miodu, którego komórkami byłyby poszczególne, nieco odmiennie, czasoprzestrzenne światy. Należałoby stąd wyciągnąć wniosek, że czas jest nie tylko jednym z wymiarów przestrzeni, lecz także jednym z atrybutów materii. Wszelkie rozważania o istocie czasu muszą być oparte o jego równoczesne powiązania z przestrzenią i materią, o ścisłą współzależność tych trzech współczynników, podstawowych składników czterowymiarowego świata.

Istnienie czasu dopiero wtedy ma jakiś sens, kiedy jest on mierzalny, to znaczy wtedy, kiedy towarzyszy mu świadomość. Istnienie czasu „samego w sobie”, czy też „jako takiego”, bez odniesienia do mierzącej go świadomości byłoby pozbawione jakiegokolwiek motywacji. Tak więc czas ma jeszcze i tę właściwość, że nie może istnieć „sam w sobie”, a jedynie w odniesieniu do świadomości, podobnie jak prędkość jedynie w odniesieniu do układu materialnego. Dopiero taka współzależność jest logicznie spójna. Można więc przyjąć, że jednym z atrybutów czasu jest świadomość.

Mówiąc o świadomości należy przystąpić do analizy sposobów jej wyartykułowania. Omawialiśmy już istnienie dwóch języków: języka sprawczego, zakodowanego w spirali DNA i języka pochodnego, opisowego, wyrażanego za pomocą słów zbudowanych z liter alfabetu. Obydwa te odmienne języki łączy wspólna cecha: są nośnikami informacji. Podobnie, jak istnieją deformacje genetyczne języka sprawczego (nowotworzenie, bracia syjamscy itp.) istnieją również częste deformacje języka opisowego szczególnie niebezpieczne wtedy, gdy wyrażane są publicznie wobec audytorium. Można by to ująć w ten sposób, że im liczniejsze audytorium, tym bardziej niebezpieczna deformacja, z czego wynika jasno i jednoznacznie, że najgroźniejsze są deformacje (nowotwory) językowe głoszone przez radio i telewizję. Zwłaszcza ta druga ma na swoim koncie rażące uchybienia gramatyczne, stylistyczne i merytoryczne, nie wspominając już o nagminnej transakcentacji sprzecznej zarówno z zasadami, jak i z melodyką języka polskiego. Język telewizyjny, będąc sprostywowanym językiem literackim, jest wybitnie rażący.

Ogłaszając konkursy na spikerów, TV nieodmiennie podkreśla, że wymagana jest znajomość co najmniej jednego języka obcego, nigdy jednak nie zaznaczono, że warunkiem sine qua non jest gruntowna znajomość języka ojczystego. Wprawdzie istnieje w TV jakaś komisja

językowa, ale pozał się Boże rezultatom jej pracy. Pod kierunkiem tych speców powstały i powstają niedopuszczalne neologizmy, a niedokształceni spikerzy i spikerki bezkrytycznie ulegają błędnym sugestiom, czy wręcz zaleceniom, a nawet nakazom.

Nie chcę dociekać intencji decydentów, lecz trudno mi się oprzeć chęci przytoczenia opinii Tomasza Jeffersona: „Wrogowie wolności w swej propagandzie metodycznie poddają skażeniu zasoby językowe, aby uwodzić, czy przymuszać swe ofiary do myślenia, czucia i działania tak, jak oni, manipulatorzy umysłów, życzą sobie, aby myślano, odczuwano i działano. Nauczyć się wolności, to jest także, poza wszystkim innym, nauczyć się właściwego posługiwania mową”.

„Nauczyć się właściwego posługiwania mową” – bagatelka! Jeszcze za sprawą nieświętej pamięci Unii Demokratycznej wkraść się do sejmu i telewizji jakiś złodziejski żargon. Nigdy nie mówi się o wymierzaniu sprawiedliwości, jak gdyby takowa nie istniała, za to ustawicznie i z dziwną lubością mówi się o „rozliczaniu”. W świecie przestępczym takie rozliczanie nazywane jest dintojrą, a rozliczonego znajduje się w ciemnej ulicy z nożem w plecach, co zazwyczaj dzieje się za sprawą „nieznanych sprawców”. Łagodniejszą formą rozliczeń są podpalenia. Ludzie cywilizowani wymierzają sprawiedliwość, a pod słowem „rozliczenia” rozumieją najczęściej operacje finansowe pomiędzy bankami.

Jak pisze Aldous Huxley („Nowy wspaniały świat poprawiony” – Edition et Librairie „Libella”, IL Paryż 1960) „Nadawanie organizacji pierwszeństwa przed osobami, jest stawianiem środków ponad celem. Co z tego wynika, gdy cele zostają podporządkowane środkom pokazali wyraźnie Hitler i Stalin. Pod ich ohydłą władzą cele osobiste zastały podporządkowane środkom organizacji przy pomocy mieszaniny gwałtu i propagandy, systematycznego terroru i niemniej systematycznego wpływania na umysły”... Niestety wyższe wykształcenie nie jest konieczną gwarancją wyższej cnoty, czy wyższej mądrości politycznej.

„Nauczyć się właściwego posługiwania mową” i „rozliczać” w sensie „unijnym”, to dwa bieguny, lub jeśli ktoś woli, dwa zwyrodniałe bliźnięta. Jak słusznie twierdzi Joseph Heller („Namaluj to”) „Język uległ deprecjacji. Ogólnie przyjęta interpretacja znaczenia słów w ich relacji do przedmiotów zaczęła się zmieniać zależnie od okoliczności”.

Wobec mnogości zamierzonych i niezamierzonych błędów, jakimi raczy nas telewizja, ograniczymy się do nielicznych przykładów, opatrując niektóre z nich niezbędnym komentarzem.

Telewizyjnym trendem i rażąco manierą stało się bezsensowne „przymiotnikowanie” za przyczyną którego zamiast biegu z przeszkodami mamy „bieg przeszkodowy”, zamiast wytwórni płyt gramofonowych „fabryki płytowe” (całe szczęście, że nie papierowe!), zamiast tempa biegu „szybkość tempową”. Dla prezenterów i prezenterek nie istnieje uchwytne różnica pomiędzy problemem i dylematem.

Mnożą się karygodne niezręczności, jak „niska wysokość”, lub skoczek „oddaje skok”, a rozmówca „wykonuje telefon”. (Zależnie od okoliczności w pierwszym przypadku winno być „skacze”, albo „oddaje moc”, natomiast w drugim po prostu „telefonuje”, bowiem telefony wykonuje się w fabryce i to nie w „fabryce telefonowej” tylko w fabryce aparatów telefonicznych.)

Od słowa „opus” (dzieło) urobiony został nic nie znaczący, przeraźliwy potworek „opusowanie”, dopełniaczem słowa „kombi”, a właściwie „combi” jest dziwoląg „kombiego”, o dwóch kobietach mówi się „obydwoje” i „między dwoma kobietami”, słowa takie jak „Bóg”, „chłop”, „książe”, odmienia się: „Bogowi” (zamiast „Bogu”), „chłopowi” (zamiast „chłopu”) i księciowi (zamiast „księciu”), a książęta prezentowani są nieodmiennie jako „księciowie”. Zgroza!

Prawie żaden (żadna) z telewizyjnych dziennikarzy (dziennikarek) nie odróżnia Georga Herberta Wellsa od Orsona Wellesa, głosząc wierutne brednie; wszyscy oni nauczyli się sylabizować, jak w przedszkolu i żadne z nich nie umie już poprawnie wypowiedzieć słów „na-

uka”, „poezja”, „teatr”, tylko wszyscy dukają „po-ezja”, „na-uka”, „te-atr”. Tylko patrzeć, jak będziemy mieli „Saba-udię” i „La-urę”, a nawet (czemu by nie?) „la-urkę”. Nikt nie powie prawidłowo „nie tylko, lecz także” (łacińskie „non solum, sed etiam”) tylko wszyscy kaleczą styl mówiąc „nie tylko, ale również”.

Posłuchajmy, jak pięknie brzmiałaby Oda do Młodości, recytowana zgodnie ze wskazaniami telewizyjnych (czytaj peerelowskich) profesorów:

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi Centa-ury,
Piekłu ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po la-ury.

Uzasadniając coś winno się powiedzieć „ponieważ”, „gdyż”, „bo” lub „dlatego, że”, natomiast w TV ustawicznie słyszymy kalekie i tautologiczne „dlatego, bo” i „dlatego, ponieważ”. Człowiek, którego coś zawiodło nie jest już zawiedziony, tylko „zawiedzony” (podobnie, jak „zabiedzony” lub „nawiedzony”), a rozwodnicy nie są rozwiedzeni, tylko „rozwiedzeni”. Zamiast „wypowiedziane”, w TV mówi się „wypowiedzone”, zamiast „stwórca”, „stworzyciel”. Ponadto spotyka się błędy pokutujące niegdyś na peryferiach miast, a więc „pomimo tego”, „w poczekalni czeka czternaście pacjentów”, „udział wzięli siedemset strażaków”, „oniemówił”, „nie obstawijcie przeciwko mi”, „akwen wodny”, „mój mąż potrzebuje samochód”, „czternaście minut po piętnastej”, „za siedemnaście minut w pół do osiemnastej”, a nawet „nie poznaję twoich perfumów”. Telewizyjni tłumacze tekstów nie grzeszą znajomością języka polskiego, a lektorzy nie mają zbyt lotnych umysłów, aby „w biegu” poprawić rażące błędy gramatyczne. Z reguły nie odmienia się, bądź też błędnie odmienia się liczebniki i błędnie akcentuje się słowa. Abdykację nazywa się przejściem na emeryturę, a większość słów pisanych przez „i”, wymawia się tak, jak gdyby zostały napisane przez „ij”, co jest już zupełnym ewenementem. Nie ma już „biologii”, ani proszku „bio”, tylko jakaś rakowata „bi-jologia” i proszek „bijo”. Tam jednak, gdzie litera „i” jest wyraziście wyakcentowana, np. w słowach „Austriak” i „patriota”, deformuje się słowo dodając zbędną literę „y”. Mamy więc, jak za Franca Józefa „Austryję” i „Austryjaków”, oraz bliżej nieznanne twory zwane „patryjotami”, jak gdyby nie wiedziano, że słowo to pochodzi od słowa „patria” (ojczyzna). Patriota „patryjocie” nierówny i kto wie, czy ten drugi nie jest obdarzony ryjem? Nie jestem pewny (lub, jak powiedziano by w telewizji, „nie jestem pewien” [czyli „jakiś”]).

Nie chcąc nużyć lawiną przy kładów, na zakończenie przytoczę wycinek dialogu spikera z doktorem ekonomii.

Spiker: Co to jest dochód narodowy? Może nam pan doktor powie? (Winno być „doktor”)

Doktor: Dochodem narodowym som te twory produkcji, które stanowiom nadwyżkę pomiędzy wkładem i gotowym produktem np. fabryk płytowych, aparaturowych itp. Duży udział w tym majom (czyżby celownik od słowa „Majowie”?) różne środki produkcji. Nie można za dużo zaimportować (importować t.zn. sprowadzać z zagranicy, przywozić, natomiast „zaimportować” nie znaczy nic, a przypomina łobuzerskie „zaiwaniać”, albo jeszcze inaczej.), bo import jest funkjom (znów pluralis, podobnie jak „Majowie”) ujemnom przy obliczaniu dochodu. Ja nie umie (3 osoba singularis) tego wyjaśnić bez pomocy tablic. Przejdźmy do tablicy. (Przechodzą). Tak wygląda dynamika w statystyce. (Transakcentacja, winno być dynamika w statystyce. Ta zmiana akcentu dotyczy wszystkich wyrazów pochodzenia grecko-łacińskiego.)

Tak oto w tym króciutkim dialogu z habilitowanym doktorem doliczymy się 12 błędów językowych, które byłoby bardzo trudno popełnić w sposób zamierzony, np. w jakim satyrycznym monologu.

Oczywiście nie są to „przejęzyczenia”, lecz błędy popełnione w wyniku nieuctwa i niechlujstwa językowego. Takich deformacji można by przytaczać bez liku, bowiem uważny słuchacz może wyłapać od kilku do kilkunastu błędów w każdym programie. Nie wiem, z

niechlujstwa, czy z nieuctwa „madonnę” wymawia się w TV przez jedno „n”, zupełnie jak Maradonę. Być może błąd ten jest wynikiem pospolitej głupoty prezenterki. Trochę inaczej ma się sprawa ze słowem „aqua”, którego pisownia sugeruje nieukowi, że należy je wymawiać jak „agua”. Inaczej mówiąc, nasi telewizyjni „patryjoci” stosują typowo „austriackie” gadanie, ucząc słuchaczy dukać, sylabizować, mylić dopełniacz z biernikiem w sposób notoryczny, transakcentować wyrazy, kaleczyć słowa, ogłupiać i deprawować nieszczęsną młodzież i tak już niedouczoną przez szkołę.

Równie denerwujące i bezmyślne są reklamy, np. „Kinder czekolada” brzmi jak „Buben Krakowiaken” albo „danaž meine dana!”.

Inną groźną, nagminną wadą prezenterów (rek) jest akcentowanie przyrostków, których się, jak wiadomo, nie akcentuje. Na skutek tego prymitywnego błędu język staje się toporny i prostacki.

Na przykład w słowie „zrobiliśmy” nie wolno kłaść akcentu na „li” zamiast na „bi”, już choćby dlatego, że przy takiej wymowie słowa nie da się odmienić, gdyż w trzeciej osobie byłoby „zrobili”, a więc akcent przypadłby na ostatnią sylabę. Przy akcentowaniu przyrostka, w drugiej osobie (plur.) wyakcentowane zostaną jakieś „liście” (zrobi-liście). Obok liści istnieją także liczne „tyki” całkiem tak, jak gdyby język prezentowany był wyłącznie przez badyłarzy, bo zamiast matematyki, mamy matema-tykę, zamiast gramatyki, grama-tykę itd. itp. Jednym słowem istnieje poważny brak wiedzy na temat akcentowania słów pochodzenia grecko-łacińskiego i nie tylko, a przecież jest to jeden z podstawowych kanonów znajomości języka ojczystego. Rodzą się wątpliwości, czy ci niedouczeni uczeni słyszeli kiedykolwiek cokolwiek o słowach i rymach daktylicznych z akcentem na trzeciej sylabie od końca (Afryka, Arktyka, matematyka, gramatyka, rubryka itd.) Przy okazji warto wspomnieć o enklitykach, a więc słowach tracących przycisk na rzecz słowa poprzedniego, np.: otwórz mi, nie można już, po co to? itd. oraz enklitykach hiperdaktylicznych, w których akcent kładzie się na czwartej, piątej, a nawet szóstej sylabie od końca, np. „nie złość się pan”, „pogodzili się już z tym”, „potargowalibyśmy się z nim” itp.

Nie wiem, czy w tym szaleństwie jest metoda, ale mam pewność, że temu nieszczęściu towarzyszy szczęście o tyle, iż dzieje się to wszystko jedynie w obrębie języka opisowego. Gdyby w podobny sposób majsterkowano przy języku sprawczym DNA, z przejęczyń genetycznych powstałyby dziwolągi i całkowicie niewyobrażalne potworki. Dlatego też z dużą rezerwą należy się odnosić do manipulacji genetycznych. Nie znaczy to, abyśmy byli przeciwnikami postępu, jako że zastrzeżenia dotyczą nie tyle samego zamysłu, ile ludzkiej ułomności (nieuwagi, zamyślenia itp.) i możliwości wymknięcia się doświadczenia spod kontroli. Muszę tu z naciskiem podkreślić, że nie przy pisują naukowcom telewizyjnej niefrasobliwości, niemniej niepokoją mnie przysłowiowe, anegdotyczne roztargnienie i wady osobowości, np. w postaci przerostu ambicji, bądź też całkiem fałszywych ambicji, nie mówiąc już o prawdopodobieństwie hipotetycznego zwyrodnienia (dr Mengele i inni).

Ograniczenia nakładane na naukę są przeważnie natury finansowej, rzadziej etycznej. Nie wynaleziono jednak dostatecznie silnych hamulców, ani natury moralnej, ani represyjnej, które zdolne by były powstrzymać nieustającą i nieprzepartą dążność człowieka do ekspansji, również w sensie zgłębiania nowych obszarów wiedzy. Od dość dawna wychodzi się już poza manipulacje z wirusami i bakteriami. Te doświadczenia, również niezwykle groźne są, jak sądzę, bezpieczniejsze, niż praktykowane już zakusy na genetyczne transformowanie układów bardziej skomplikowanych, np. ssaków, a więc i ludzi.

Popętnienie błędu przy manipulowaniu spiralą DNA byłoby nieporównywalnie bardziej brzemiennie w skutki, niż błąd ortograficzny w słowie pisanym. Jeżeli, pisząc np. słowo „zupa” popełnimy błąd maszynowy, możemy jedynie kogoś obrazić, urazić, lub samemu narazić się na śmieszność, ale podobna pomyłka w kodzie genetycznym mogłaby spowodować nieprzewidywalnie opłakane skutki. Jak widać, informacja informacji nierówna.

Na straży słowa pisanego, poza samym autorem publikacji, stoi jeszcze redaktor, korektor, a niejednokrotnie i cenzor. Wszyscy oni znają na tyle język i na tyle rozumieją treść, że mogą ingerować, częstokroć wypaczając nawet intencje autora, lecz kto będzie czuwał nad pionierskimi odkrywcami? Czyżby inni odkrywcy? W tym miejscu można by zadać pytanie: quis custodiet ipsos custodes? Zresztą owi strażnicy, czy też kontrolerzy, mając nawet jak najlepsze intencje, mogą często w sposób niezamierzony popełniać podobne pomyłki i lapsusy jak krytycy literacy. Tak więc sytuacja zawsze może się wymknąć spod kontroli. A skoro dobrnęliśmy już, aż do krytyków, musimy stwierdzić, że nie tylko nie są oni zdolni czemukolwiek przeciwdziałać na dalszą metę, lecz także i sami stają się przedmiotem krytyki.

Kończąc tę akademię cudów genetycznych i językowych, zapoznajmy się z opiniami twórców o krytykach. Oto kilkanaście wypowiedzi, które dobitnie i lustrują stan rzeczy.

Albert Wielki: Tacy ludzie zgładzili Sokratesa i skazali na wygnanie Platona.

Balzac o Steinbocku: Zyskał reputację krytyka, jak wszyscy impotenci, którzy zadali kłam swoim początkom.

Kazimierz Brandys: (listy do pani Z.) – Jestem przeciwnikiem recenzji jako czynności społecznej. Uważam to za ciągnięcie zysków z nieczystego źródła. Życ z pisania o tym, co zrobił kto inny, zarabiać przy pomocy zdań „Kowalski ma talent”, albo „Freski z Orvietto to arcydzieło Signorellego” – nigdy. Można o tym mówić przy pół czarnej, ale pisać, czynić z tego zawód? Np. ibus–mańkut: człowiek, który prawą ręką usiłuj e pisać powieści, a lewą, jako recenzent, dusi innych powieściopisarzy.

Fr. Ks. Dmochowski:

Ostry krytyka urząd nie każdego zdoła,

Niech ten sądzi o drugich, który sam co robi.

T. Gautie: (Przedmowa do „Panny de Maupin”) – Rzeczą pewną i łatwą do wykazania – w razie gdyby ktoś wątpił – to wrodzona antypatia krytyka względem poety – tego, który nie tworzy względem tego, który tworzy – szerszenia względem pszczoły – wałacha względem ogiera.

dr Goebbels: (Mowa do filmowców w 1934 r.) – „Krytyk, który sam niczego nie dokonał w żadnej dziedzinie sztuki, nie ma prawa dyskredytować czyjejś działalności artystycznej.” Powtórzył to w 1936 r. w rozporządzeniu, w którym zabronił uprawiania krytyki. Dekret pozwalał tylko na pisanie sprawozdań i powołał się przy tym na fakt, że wielcy krytycy ubiegłego wieku jak Lessing, Kleis, Tieck, Brentano, Fontane, Freytag, mieli za sobą poważne dzieła, zanim zaczęli pisywać krytyki. W mowie z 27 listopada 1936 r, na zebraniu Reichskulturkammer, oświadczył Goebbels, że „krytyk wyżywa w krytyce swe niespełnione ambicje twórcze”.

Grillparzer: Ten tylko, który sam potrafi coś zrobić, może osądzać to, co inni zrobili.

Samuel Goldwyn: Jeżeli chodzi o krytyków, to nie warto ich nawet ignorować.

Giovanni Guareschi: Krytyk, to kura, która gdacze, gdy inne znoszą jaja.

Dr Johnson: Jeżeli czytamy dla jakiegoś celu, połowę naszej uwagi zaprzęta ta docelowość i tylko połowa jest nastawiona na pełny odbiór walorów.

Landor: Na krytykę swych „Rozmów fikcyjnych” odpowiedział, że da nagrodę krytykowi, który napisze coś równie dobrego, jak jego najgorsze rozmowy.

Mc Luhan: Gdybym chciał słuchać krytyków, musiałbym poderżnąć sobie gardło.

Adam Mickiewicz: „Poeta tylko może ocenić poetę. Tworzenia trudności; ile potrzeba, aby się wzbić w taki entuzjizm, to samemu poecie wiadome” – W liście do Lelewela: „Mam wielkie dla talentu poszanowanie i autorowie, klasa, że tak powiem, płodna w literaturze zasługuje na słuszne względy i na pobłażanie nawet uchybieniom. Ale retorowie zuchwali i ciemni, litości nie warci, łatwo pokazać całą ich nicość.”

Naruszewicz:

Bierze pracownych piórek dzieła na przetaki

I tonem prawodawczym swoje głupstwa zdoła,
Ganiąc w drugim, czego sam nie zna i nie robi.

Fryderyk Nietzsche: W stosunku do geniusza, to znaczy do istoty, która albo płodzi albo rodzi – oba te słowa pojęte w najwyższym ich zakresie – naukowy pospolitak ma zawsze coś ze starej panny: gdyż, podobnie jak ona, nie zna się na obu tych najcenniejszych zadaniach człowieka.

Pope: ... Temu zatem wolno uczyć, kto nad innymi góruje i temu śmiało sądzić, kto sam dobrze pisze. (Krytyka określał mianem „eunuch”).

Romain Rolland: (Jan Krzysztof) – Krytyk, który zawzięcie obniża do swojej miary wielkich ludzi i wielkie myśli, dziewczyna, która dla zabawy upadła swych kochanków, są szkodliwymi zwierzętami jednego gatunku. – Ale w tym drugim wypadku łatwiej jest się zdobyć na pohańbienie.

Sofokles: I to prawo będzie obowiązywało po wsze czasy, że nic co wielkie wkracza w życie śmiertelnych bez klątwy.

Adam Sznaper: „Także i na krytyków należy patrzeć krytycznie, bo zaiste, nie stoją oni ponad sztuką, raczej obok” – „Krytyk jest krytykiem i trzeba się z tym pogodzić, podobno żadna praca nie hańbi”.

Wolter (Voltaire): „Istnieje wiele rodzajów ignorancji. Najgorszą ze wszystkich jest ignorancja krytyków” – „Trzeba być Kwintylianiem, żeby się ośmielić sądzić cudze dzieła” – „Poczwierciec miał pod ręką parę utworów krytycznych, owych ulotnych broszurek, w których ludzie nie zdolni nic stworzyć zohydzają dzieła innych” – „To coś, powiadał (Prostaczek), jak owe muchy, składające jajka na zadzie najpiękniejszych rumaków: nie przeszkadza im to cwałować”.

Bohdan Zaleski:

„Krytyk? Żeby on wiedział to jasno, co plecie
Byłby poetą zamiast wybredzać poecie,
Kto sam bitw nie wygrywał jeszcze, temu wara
Nicować strategiczne pomysły Cezara”.

Zeuxis: „Łatwiej zganić, niż zrobić coś podobnego”.

Tadeusz Żeleński (Boy): „Kiedy ktoś chce mieć wełnę, strzyże nie wilki lecz owce, bo jest ich więcej, a i manipulacja z nimi łatwiejsza”.

Jak widać, do wszelkich krytyków, cenzorów i nadzorców należy się odnosić z wielką rezerwą, gdyż bardzo poważnie zahamowali rozwój kultury, a niejeden twórca popełnił przez nich samobójstwo. Niewiele brakowało, żeby zadusili w zarodku impresjonizm. To coś więcej, niż sprawa ucha van Gogha, przez cały okres walki z indolentnymi krytykami, impresjonści podrzynali sobie gardła hipotetycznymi brzytwami, a przecież impresjonizm też był swoistą akademią cudów... Ale to już inna bajka.

Powrót do gwiazd

(Laickie hipotezy)

Zgodnie z teorią Einsteina wiemy, a jest to jakoby doświadczalnie stwierdzone, że światło ugina się w pobliżu wielkich mas. Wiemy też, że grzęźnie ono w czarnych dziurach, a więc niewyobrażalnie gęstych skupiskach materii, która je pochłania (więzi). Znając te dwa podstawowe zjawiska możemy założyć istnienie masy pośredniej, to znaczy takiej, która nie jest zdolna uwięzić światła, lecz zdolna jest nie tylko je ugiąć (odchylić), lecz tak bardzo zakrzywić, że zostanie schwytane na orbitę. Wobec nieprzeliczonej ilości gwiazd, rozumowanie takie jest uprawnione, a nawet zbliżone do pewnika. Ponieważ każda gwiazda emituje promienie przez około dwudziestu miliardów lat, możemy teoretycznie założyć, że światło emitowane ciągle przez gwiazdę X nawija się na orbitę gwiazdy Y jak nić na szpulkę. Inaczej mówiąc, gwiazda Y stopniowo i systematycznie przejmuje energię od gwiazdy X, stając się coraz jaśniejsza.

Ale do gwiazdy Y dociera nie tylko światło gwiazdy X. Dociera ono z całego obszaru nieba, ze wszystkich galaktyk. Odważnie i konsekwentnie rozumując, dojdziemy do wniosku, że gwiazda Y stanie się z czasem tak niewiarygodnie jasna, iż w pewnej chwili zapadnie się pod ciśnieniem światła, przestając się w czarną dziurę. Kto wie, może taką osobliwą gwiazdą jest niedawno odkryty niezwykle obiekt, którego nieporównywalnej z niczym jasności naukowcy nie umieją sobie wytłumaczyć i snując domysły starają się wyjaśnić zjawisko w sposób najbardziej prawdopodobny dla obecnego stanu wiedzy.

2. W oparciu o teorię Einsteina twierdzimy, że światło biegnie z niezmienną prędkością 299,793 km/sek, i na tej przesłance, uznanej za pewnik, opieramy wszelkie obliczenia odległości międzygwiazdnych. Prędkość światła sprawdzamy doświadczalnie na ziemi lub za pomocą odbicia promienia lasera od powierzchni księżyca i utwierdzamy się w tym przekonaniu. Nasze doświadczenia są jednak dość żałosne, bo dotyczą niezwykle małych odległości. Wywiedzione z nich obliczenia są wbrew pozorom jedynie snuciem domysłów i wyciąganiem, być może, całkiem fałszywych wniosków. Wiemy z autopsji, że biegnąc mamy najmniejszą szybkość na starcie, że podobnie dzieje się z kulą armatnią i z rakietą kosmiczną. Innymi słowy, wszystko stopniowo nabiera rozpędu. Być może doświadczalnie sprawdzona przez nas prędkość światła jest jego prędkością startową. Kto wie, jakiej prędkości nabiera ono po kilkuset milionach lat? Sprawdzić tego niepodobna, toteż wszelkie wyliczenia są jedynie supozycjami. Mogą one być mylne także i dlatego, że światło uginając się w pobliżu wielkich skupisk materii nie biegnie po cięciwie, lecz po łukach. Wiemy też, że skupiska materii odkształcają przestrzeń, a więc i czas, skoro pojmujemy czasoprzestrzeń jako jedność (świat czterowymiarowy). Odkształcanie się przestrzeni i czasu czyni wszelkie nasze obliczenia niezwykle iluzorycznymi. O ile potrafimy obliczyć orbity planet i tory komet, a wszystko to jest wobec ogromu kosmosu zaledwie mikroskalą – o tyle wyznaczenia galaktycznych odległości w oparciu o hipotetyczną prędkość światła, na domiar leżącego po linii prostej, są najprawdopodobniej całkowicie fałszywe.

3. Za pomocą coraz to bardziej precyzyjnych przyrządów, w tym także orbitujących poza atmosferą i lecących w przestrzeń pozaorbitalną, odkrywamy wciąż nowe galaktyki, odległe o wiele miliardów lat świetlnych. Jak się to dzieje, że przez te miliardy lat światło tych galaktyk nie spotyka po drodze ani jednej czarnej dziury?

Należałoby wnioskować, że czarnych dziur jest niewyobrażalnie mało, o ile nie są one po prostu wymysłem tłumaczącym niewytłumaczalne dla nas zakłócenia, które psują eleganckie i naukowe wyliczanki. Czy te wyliczanki uwzględniają takie parametry, jak rosnąca prędkość światła, jego lot po łukach i odkształcenie czasoprzestrzeni?

I jeszcze jedno. Żadna gwiazda nie emituje światła jednokierunkowo jak laser czy reflektor, lecz rozsiewa je równomiernie na wsze strony. Tworzy więc jak gdyby poświatę. W jaki sposób taka rozprzestrzeniona, wszechobecna poświata, nie mając jednokierunkowego toru mogłaby się od niego odchyłać? Jak mogłaby się „uginąć”? W jaki sposób i względem czego? Jeżeli ten tor jest jedynie naszym ziemskim wymysłem, to dostrzegane ugięcia światła są fikcją. Żyjemy w otchłani kompletnej niewiedzy, za ledwie czubkiem buta trącając wiedzę, a wszelkie doświadczalnie sprawdzone naukowe teorie, to po prostu astronomiczne, astrofizyczne, kosmogoniczne, kosmologiczne i matematyczne elukubracje.

Warszawa, 1998

Z ostatniej chwili!

Już po wydrukowaniu tej książki i przystąpieniu do erraty, spotkała mnie miła niespodzianka. Rozumowanie moje łamiące podstawowy dogmat współczesnej fizyki, dotyczący niezmiennej prędkości rozchodzenia się światła (rozdział „Wyliczanka”, akapit 4) nad wyraz szybko sprawdziło się. W ostatnim tygodniu badacze z uniwersytetu w Princeton pokonali barierę światła, przyspieszając prędkość wiązki laserowej w ośrodku cezu (w postaci gazu).

Światło, osiągając wielokrotnie większą prędkość, niż to zakłada Teoria Einsteina, obaliło jej podstawowy kanon, stawiając fizykę na głowie.

Ufam, że i inne moje wnioski prędzej czy później znajdą potwierdzenie, odmieniając spojrzenie na świat i zachodzące w nim zjawiska.

Adam Sznaper

Spis treści

Big–Beng
„Świat na bakier”. Entropia, informacja, antyświaty
Marzenie ściętej głowy. (Gnothi seauton)
Wymiary
Nieco inaczej
Zarzynanie nauki „brzytwą Ockhama”
Analogie
Herezje i paradoksy
Wyliczanka (Z przymrużeniem oka)
Pytania
Uprawdopodobnione nieprawdopodobieństwo
Akademia cudów
Powrót do gwiazd. (Laickie hipotezy)